

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]

## **ROZDZIAŁ VI**

***31 lipca 2005 r.***

Dziś mija pięćdziesiąta pierwsza rocznica naszego ślubu. Wtedy była to sobota, ale w PRL był to dzień roboczy, mimo że w większości miejsc pracy był krótszy od pozostałych pięciu o 3-3,5 godziny. Urząd Stanu Cywilnego w Końskich był więc otwarty do godz. 13:00 i stąd mogliśmy z Niunią wziąć przed południem ślub w tym „świeckim kościele”.

Wzięlibyśmy go zapewne o co najmniej trzy tygodnie wcześniej, gdyby nie dość niecodzienny zbieg okoliczności. Do kraju bowiem powróciłem w połowie kwietnia 1954 r., po 9-miesięcznym pobycie w Korei, gdzie byłem w polskim kontyngencie wojskowym, który obok czechosłowackiego, szwajcarskiego i szwedzkiego tworzył Komisję Nadzorczą Państw Neutralnych. Do zadań Komisji należało nadzorowanie zawartego 27 lipca 1953 r. rozejmu pomiędzy siłami ONZ, głównie amerykańskimi, z jednej strony, a północnokoreańsko-chińskimi z drugiej. Mieliśmy nawet zamiar pobrać się przed moim wyjazdem do Korei, ale ponieważ spadł on na mnie nagle, więc datę ślubu należało przesunąć. Teraz jednak, kiedy już powróciłem do kraju, nic nie stało na przeszkodzie, żebyśmy nareszcie pobrali się. Nie tak zaraz po powrocie, gdyż Niunia dopiero w końcu czerwca kończyła swoje studia stomatologiczne na Akademii Medycznej w Warszawie, a ja z kolei też musiałem zdać zaległe z powodu wyjazdu do Korei egzaminy z trzeciego roku oraz napisać pracę dyplomową po ukończeniu studiów I stopnia. Wszystko szło zgodnie z planem i 1 lipca przyjechaliśmy do Końskich. Zaraz też zacząłem rozmowy z Niuni mamą, gdyż jej tata, kierownik pociągu osobowego, rzadko kiedy bywał w domu. I któregoś dnia, dokładnej daty nie pamiętam, kiedy jedliśmy wspólnie obiad w domu rodziców Niuni, omawiając przy okazji różne szczegóły zbliżającego się ślubu, raptem poczułem się bardzo źle. Głowa pękała mi od huku, język zaczął mi się plątać i nie wiem co byłoby dalej, gdyby Niunia nie zaprowadziła mnie do pokoju i nie położyła na kanapie. Wkrótce potem, choć wcale tak nie wydawało mi się, straciłem przytomność. Po czterech godzinach, ok. 18-ej, wszystko minęło i ku zdziwieniu Niuni wstałem nagle z kanapy jakby nigdy nic i zacząłem normalnie rozmawiać. Huków w głowie już nie miałem, a co najwyżej czułem się jak człowiek wyrwany nagle z głębokiego snu. Nikt nie wiedział, że mną na czele, co mi się stało, ale przerwanej w czasie obiadu rozmowy już nie kontynuowaliśmy, postanawiając ją wznowić w dniu następnym w czasie obiadu. Wróciłem więc

do mieszkania rodziców, nic nikomu o tym co zdarzyło się nie wspominając, a w dniu następnym znów udałem się do domu rodziców Niuni.

W południe zasiedliśmy do obiadu, znów w trójkę, gdyż Tata Niuni był jak zwykle na służbie, rozmowa nasza przebiegała całkiem normalnie i oto ok. 14-ej powtórzyła się historia z dnia poprzedniego! Znów zawędrowałem na kanapę, tym razem jakby szczękając zębami z zimna, choć czułem fale gorąca, a po chwili nie bardzo już wiedziałem co się ze mną następnie działo. Identycznie jak dzień przedtem, wszystko minęło po czterech godzinach. Tyle tylko, że tym razem czułem się lekko stuknięty, używając obiegowego określenia. Poszedłem do domu, gdyż przerwana rozmowę mieliśmy kontynuować jak zawsze następnego dnia w czasie obiadu.

W dniu następnym, po raz trzeci już z rzędu, wszystko powtórzyło się *identycznie* jak w czasie ostatnich dwóch dni! Tylko teraz finał był nieco inny. Niunia bowiem postanowiła wezwać karetkę pogotowia i zabrać mnie do miejscowego szpitala, gdzie badający mnie lekarze orzekli ostry atak grypy. Niunia była innego zdania, gdyż twarz mi wyraźnie pożółkła, i twierdziła, że był to atak malarii. Lekarze osłupieli, ale gdy im wyjaśniła, iż przez wiele miesięcy byłem w Korei i tam mogłem nabawić się tej choroby, to swojej diagnozy byli już mniej pewni, ale malaria też im nie przemawiała do przekonania. Nie dziwię się im, gdyż ktoś w szpitalu powiatowym w Polsce mógł zetknąć się z malarią? Mnie zaś przypomniało się, że w pobliskiej Baryczy, gdzie stacjonowała dywizja piechoty na letnich ćwiczeniach. Jej dowódcą był płk. Arseniusz Wadejko, którego znałem z Korei, który mógłby jakoś być pomocny w rozwiązaniu sporu. W Korei miałem z nim przyjacielskie stosunki, a raz mi nawet opowiadał, że w czasie wojny, służąc w Armii Czerwonej, zanim przeszedł do I Armii WP, chorował na malarię. Tak się też złożyło, że razem z Korei wracaliśmy do kraju, a kiedy dowiedział się, że pochodzę z Końskich, to wspomniał, że latem będzie w ich pobliżu i że koniecznie musimy się wtedy spotkać. Poprosiłem więc Niunię, żeby poszła do Komitetu Powiatowego PZPR, gdzie zapewne wiedzą, jak zadzwonić do dowództwa dywizji i żeby skontaktowała się z Wadejko. Tak też stało się i wkrótce potem na salę, gdzie leżałem wśród dwudziestki innych chorych, wkroczył Wadejko z lekarzem wojskowym, który natychmiast orzekł, że mam malarię.

Dlaczego jednak złapała mnie ona w Polsce, a nie w Korei? Dziś już nie pamiętam, czy było to wynikiem zlekceważenia sobie ostrzeżeń czy też nigdy o nich nie słyszałem. Jakkolwiek

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

nie było, Korea była wtedy uznawana za malaryczny kraj, ale dopóki przebywając w niej łykałem tabletki paludryny, to przed chorobą byłem zabezpieczony. Od momentu jednak wyjazdu z Korei w końcu marca, paludryny już nie zażywałem, a należało to czynić przynajmniej przez jeden miesiąc od ostatniego ukąszenia przez moskita, czyli do sierpnia włącznie. Tak więc, ponosiłem teraz skutki tego zaniedbania. Lekarz wojskowy moją chorobę potraktował bardzo serio, proponując przewiezienie mnie z Końskich do szpitala wojskowego w Warszawie. Propozycji tej jednak nie przyjąłem, gdyż pomieszałyby ona moje ślubne plany, a ponadto naiwnie sądziłem, że szpital opuszczę za 2-3 dni.

Tak szybko, niestety, nie opuściłem szpitala, jako że jego dyrektor, dr Świdorski, chirurg o reputacji doskonałego lekarza, który wziął się za moje leczenie, kategorycznie zakazał mi opuszczenia łóżka szpitalnego przez najbliższe trzy tygodnie. Stosowane bowiem leki wymagały prawie nieruchomej pozycji ze względu na niebezpieczeństwo uszkodzenia wątroby. Do zakazu tego niezupełnie stosowałem się, ale też szpitala nie opuściłem. Po trzech tygodniach wyniki badań wykazały na szczęście, że z wątrobą wszystko jest w porządku, a więc mogłem zostać wypisany ze szpitala.<sup>1</sup> Fizycznie i psychicznie czułem się świetnie i ani w głowie było mi udawanie rekonwalescenta. No i w dwa dni potem, dzień naszego ślubu, choć nieco opóźniony, wreszcie nadszedł.

Był to bardzo skromny ślub. Poza mną i Niunią obecni byli jeszcze dwaj świadkowie, Irka Kosakowska, kuzynka Niuni, i jej szwagier, Jurek Dziubiński, sąsiedzi rodziców Niuni, no i oczywiście urzędnik Stanu Cywilnego.

Urzędnik Stanu Cywilnego, mile wyglądający pan w średnim wieku, wygłosił krótkie, ale naprawdę bardzo przemawiające do serca przemówienie na temat ważności dokonywanego aktu. W chwilę później na naszych serdecznych palcach zabłysnęły złote obrączki, które w kwietniu

---

<sup>1</sup> Jak się wkrótce okazało jednak, ataki malarii po kilku tygodniach, aczkolwiek już z mniejszą częstotliwością, zaczęły powracać. Pracując jednak w Warszawie, dostałem skierowanie do Szpitala Zakaźnego na Woli, gdzie jego dyrektorem był prof. Kassur, wybitny specjalista chorób tropikalnych, w tym malarii. Po zbadaniu mnie orzekł, że ze względu na mój ogólnie doskonały stan zdrowia, nie muszę być szpitalnie leczony, ale w zamian muszę zażywać 1 gram chininy dziennie przez trzy tygodnie, następnie zrobić tygodniową przerwę, potem wznowić kurację przez dwa tygodnie, a po tygodniowej przerwie kurację wznowić jeszcze przez tydzień. Mimo niesamowitego szumu w uszach, ściśle przestrzegałem zaleconą mi kurację, od której zakończenia w styczniu 1955 r. ataków malarii już nigdy nie miałem. Profesor poradził mi jeszcze omijanie krajów malarycznych. Nie zawsze było to możliwe, ale ponieważ pobyt mój w takich krajach był zawsze względnie krótki, więc ataki malarii nie powróciły.

tegoż roku kupiłem w Pekinie.

Kiedyś, prawdę mówiąc, inaczej wyobrażałem sobie mój ślub. Początkowo, zanim nie oddaliłem się od religii, wyobrażałem go sobie w suto oświetlonym i wypełnionym po brzegi kościele, z organistą siarczyście wyrzynającym marsza weselnego, ze mną sunącym z moją wybranką w długiej sukni z welonem w kierunku wielkiego ołtarza, gdzie czekał już ksiądz gotów połączyć nas sakramentem małżeństwa. Potem ślub kościelny i związane z tym uroczystości wypadły z moich marzeń, a ich miejsce zajął z kolei ślub w jakimś świeckim miejscu, gdzie koledzy oficerowie, jako że marzyło mi się przez jakiś czas zostać pilotem wojskowym, skrzyżują szable nad naszymi głowami, a orkiestra wojskowa zastąpi organy.

Z czasem i to marzenie wywiało mi z głowy, kiedy z kariery wojskowej zrezygnowałem już przed końcem małej matury.

I oto teraz, w rezultacie zarówno ewolucji moich marzeń jak i innych okoliczności, ślub nasz zamknął się do wspomnianego już grona pięciu osób. Nie był podobny do tych, które później widziałem w Warszawie w Urzędach Stanu Cywilnego, gdzie ceremonie ślubne odbywały się z pompą, niewiele różniącą się od kościelnych.

W moim pojęciu, należało związek zalegalizować i kiedy już wreszcie zdobyłem konieczny papierek, to *jak* naprawdę wyobrażałem sobie nasze dalsze życie?

A więc z całą pewnością *nie myślałem* z czego będziemy żyć i gdzie będziemy mieszkać! Była to sprawa tak dla mnie nieważna, że szkoda było nawet o niej myśleć. Żyłem przecież w realnym socjalizmie i byłem święcie przeświadczony, że to była jego, a *nie* moja sprawa! Uważałem bowiem za rzecz całkiem normalną, że skoro chciałem pracować, a na dodatek założyłem jeszcze rodzinę, to reszta należy do państwa, czy jak kto woli, społeczeństwa. Pracę zresztą *musiałem* dostać, gdyż na absolwentów wyższych uczelni czekały przecież nakazy pracy! W tamtych czasach problem bezrobocia, który dziś, w III RP, jest klęską prawie połowy młodych ludzi kończących studia, nie istniał. W moim przypadku było też pewne, że pójdę do pracy w handlu zagranicznym, zapewne gdzieś w Warszawie, gdzie mieściło się Ministerstwo Handlu Zagranicznego, Polska Izba Handlu Zagranicznego, większość Central Handlu Zagranicznego, jak też inne instytucje centralne oraz usługowe, które zajmowały się zewnętrznymi stosunkami gospodarczymi. Niunia z kolei, która otrzymała dyplom lekarza stomatologii, też miała

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

zapewnioną pracę w swoim zawodzie. A że czekały nas skromne pensje, szczególnie Niunię, to kto się tym przejmował! Z czasem płace będą przecież rosnąć, a ponadto coś słyszałem o okolicznościowych premiach pieniężnych, a więc ... jakoś tam będzie.

Oдноśnie zaś mieszkania, a zanosilo się na to, że będzie musiało ono być w Warszawie ze względu na moje przyszłe miejsce pracy, to zapewne też jakoś je dostanę i to bezpłatnie, jak to wtedy było praktykowane, przynajmniej w teorii, gdyż różnie z tym bywało. Wszystkim zatrudnianym wtedy ludziom obiecywano otrzymanie mieszkania i choć z trudem, zwłaszcza w Warszawie, przyrzeczeń dotrzymano.

A zresztą, wszystkie życiowe sprawy wydawały nam się z Niunią drugorzędną. Socjalizm, zwłaszcza wśród ludzi wchodzących w zawodowe życie, obudził tyle nadziei, że przyszłość wydawała się bezproblemowa, żeby nie powiedzieć świetlana!

Powracając jednak do dalszych wydarzeń dnia sprzed pięćdziesięciu i jeden lat, to po ceremonii ślubnej udałem się już nie do domu moich rodziców, ale do domu rodziców Niuni, gdzie już odtąd zamieszkałem jako nowy członek rodziny. Taty w domu nie było, z Mamą zjedliśmy obiad, a w chwilę potem zjawił się gazikiem płk. Wadejko, którego wcześniej powiadomiłem o naszym ślubie. Przyjęliśmy go kieliszkiem wódki, zapraszając również na wesele za tydzień, na które jednak nie mógł przybyć.

I tak oto mniej więcej minął nam pierwszy spośród następnych 18 628 dni, jakie do dnia dzisiejszego przeżyliśmy wspólnie w związku małżeńskim, jak to oficjalnie nazywa się jedną z najstarszych i najbardziej upowszechnionych instytucji, jakich dorobiła się ludzkość.

Skoro już zebrało mi się na różne refleksje, to aż dziw bierze, że instytucja małżeństwa, podstawowa komórka w społeczeństwie ludzkim, pozostaje ciągle daleko poza centrum jego uwagi. W mowie potocznej wszystkich chyba ludów, miłość uczuciowa i cielesna nie rzadko jest przedmiotem drwin, jeśli wręcz nie wulgarnych określeń. Prawda, od epoki Odrodzenia jest bogato reprezentowana w sztuce, ale w filozofii, nauce zajmującej się istotą i strukturą bytu ludzkiego, jakoś *nie znalazła* sobie godnego jej wagi echa.

W starożytnej Grecji, kolebce filozofii, filozofowie mało się nią interesowali. Ponadto, kobietę uważano za „niedorobionego” mężczyznę, z czego wynikało, że jest ona *niższą* od niego istotą. Nawet starożytna demokracja ateńska, narodzona w 507 r. p.n.e., w ciągu 183 lat swojego

istnienia *nie zdobyła się* na równouprawnienie kobiety z mężczyzną. Platon, co prawda, krytykując pomysły ze wspólnymi żonami, coś tam mówił o „rozwadnianiu miłości”, ale to było wszystko. W starożytnym Rzymie było już pod tym względem nieco lepiej, ale ponieważ w porównaniu do starożytnej Grecji mnogością filozofów nie mógł się on poszczycić, więc na miłosnym odcinku odziedziczony przez następne pokolenia dorobek starożytnych filozofów pozostał bez większych zmian. Zmieniać zaczęło się dopiero w epoce Odrodzenia i potem, ale też w sposób daleki od tego, jakiego należało się spodziewać. Żyjący prawie czterysta lat temu brytyjski filozof Francis Bacon na przykład, przyjaźń stawiał *ponad* miłością, aczkolwiek doceniał jej rolę w małżeństwie. Immanuel Kant, osiemnastowieczny filozof niemiecki, do końca swojego 80-letniego życia nieustannie rozważał celowość zawarcia małżeństwa, aż zmarł w stanie bezzennym. Jego współrodak i nieco mu późniejszy Arthur Schopenhauer, miłość rodzicielską uważał za *silniejszą* od małżeńskiej, a o tej ostatniej wygłosił taką oto sentencję: „*tylko filozof może być szczęśliwy w małżeństwie, ale filozof nie żeni się*” (on sam nigdy nie ożenił się). Inny i nieco późniejszy filozof niemiecki, Friedrich Nietzsche, który zresztą ze względu na swój stan zdrowia, bezzenność i ekscentryczny tryb życia miał najmniej danych do wypowiedzania się o miłości, sprowadził ją do „żądzy posiadania”, zaloty zaliczył do kategorii „walki”, a „sztukę kopulacji” do kategorii „mistrzostwa”. Wierząc w dodatku w „supermana” uważał, że człowiek (mężczyzna) *nie może* jednocześnie kochać i być mądrym! Dla amerykańskiego filozofa George Santayany (1863-1952) z kolei, nic nie było piękniejszego jak „miłość braterska”, w katolickim zresztą, a nie protestanckim wydaniu.

Na szczęście jednak, znalazł się wśród filozofów ktoś, kto miłość, zarówno małżeńską jak i rodzicielską, wyniósł na godny jej piedestał. Był nim osiemnastowieczny francuski filozof i pisarz Jean Jacques Rousseau, jeden z największych luminarzy epoki Oświecenia. Miłość, nie tak jak Nietzsche, znał przede wszystkim z „pierwszej ręki”, mając nie tylko romanse z arystokratkami, ale mając też za żonę swoją półpiśmienną służebnicę. Rousseau miłość stawiał *ponad* obywatelskie społeczeństwo, obowiązek i cnotę. Miłość uważał za *najbliższy* człowiekowi produkt Natury, nazywając ją „najsłodszy uczuciem, jakie może ogarnąć serce”. Jednocześnie Rousseau uważał miłość za „zjawisko społeczne” i to, pomimo że człowieka uważał z natury za „aspolecznego”. Wreszcie, więzy miłosne uważał za *świętsze* od *wszystkich* innych.

I można tylko żałować, że żyjący po Rousseau filozofowie, kierując swoją uwagę na problemy głównie ludzkich zbiorowisk, a nie jednostek, nie rozwinęli poglądów Rousseau, pozostawiając je psychiatrom i neurologom, jak Sigmundowi Freudowi, ojcu psychoanalizy, czy tak kontrowersyjnym filozofom neo-marksistowskim drugiej połowy XX stulecia, jak Herbertowi Marcuse, ojcu chrzestnemu amerykańskiej *kontrkultury* z lat 1960/1970-ch.

Na zakończenie muszę jeszcze dodać pogląd cytowanego już w I Rozdziale polskiego filozofa-zakonnika J. M. Bocheńskiego.

W swoim *Spisie Przykazań*, których jest 94 i mają pomóc w „dobrym życiu”, o miłości i małżeństwie nawet nie wspomina, ale w Siedemnastym Przykazaniu zaleca „*Nieprzywiązywanie się zbytnio do nikogo*”. A ponieważ z przywiązywania się do współmałżonka nie czyni wyjątku, więc można domniemywać, że dla „dobrego życia” coś takiego jest absolutnie zbędne!

Teraz jest jeszcze gorzej, gdyż w okresie filozoficznej posuchy wyjście na czoło problematyki polityczno-społecznej, czy to w neokonserwatywnym, w neo-marksistowskim czy neoliberalnym wydaniu, spowodowało *zniknięcie* wszystkich innych problemów, w tym miłości i małżeństwa, z pola widzenia filozofów.

No i co ja, ani filozof, socjolog, psychoanalityk czy poeta, mógłbym mieć do powiedzenia w sprawie miłości?

Opierając się tylko na własnym doświadczeniu mogę w całej rozciągłości potwierdzić *wszystko* to, co Rousseau napisał o miłości. Nie miłość, niestety, jest ciągle jeszcze dominującym powodem zawierania związków małżeńskich, ale jednocześnie z każdym dniem zyskuje ona coraz bardziej na wadze. A że może być i tak, że miłość nie zawsze jest gwarantem trwałości związku małżeńskiego, to też prawda. Za mało jeszcze nauka wie o uczuciu miłości, choć z obserwacji życia wiadomo, że ludzie obojga płci mogą nawet wielokrotnie zakochiwać się i w wielu wypadkach wchodzić w nowe związki małżeńskie.

A zatem, miłość to *niezwykle* złożone zjawisko w życiu ludzkim. Jest ona zarówno - jak to pisał Rousseau – „najsłodszy uczuciem” - ale jest też dowodem dojrzałości, rozsądku i wzajemnego zaufania dwojga osobników. Jeśli jeszcze jej owocem jest potomstwo, to niewątpliwie jest to *szczyt* ludzkiego szczęścia.

I trzeba tylko mieć nadzieję, że miłość kiedyś będzie *jedynym* kryterium doboru

małżeńskiego, a przynajmniej głównym. Mieści się ona przede wszystkim, podchodząc do miłości od strony społeczno-politycznej, w szeroko pojętych prawach człowieka. Tylko bowiem człowiek *wolny* od strachu i nędzy będzie mógł w pełni korzystać z dobrodziejstw życia, w którym oparte na miłości więzy małżeńskie są jego największym dobrodziejstwem. A że od tej reguły będą wyjątki, może nawet liczne, to normalne. Człowiek - jak to twierdzi filozofia - dąży do doskonałości w nieskończoności...

### ***1 września 2005 r.***

Dzień 1 września, to dzień *szczególny* dla każdego Polaka, zwłaszcza tych, którzy sześćdziesiąt sześć lat temu na własne oczy widzieli napaść Niemiec na Polskę, w wyniku której doszło do wybuchu II wojny światowej.

Zanim jednak przejdę do tej kwestii, muszę wspomnieć o oglądanych codziennie w telewizji i opisywanych w prasie dantejskich scenach, jakie od poniedziałku, 29 sierpnia, rozgrywają się w Luizjanie, Mississipi, Alabamie i częściowo na Florydzie, po nawiedzeniu ich przez cyklon Katrina, największy z zarejestrowanych dotąd w historii USA. Zniszczenia, jakie pociągnął za sobą, szczególnie w Nowym Orleanie, położonym poniżej poziomu morza i sąsiadującego z nim jeziora, po pęknięciu otaczających go tam, są ogromne. Miasto w ponad 80 procentach zostało zalane wodą, miejscami o kilkumetrowej głębokości. Bardzo też ucierpiała południowa część stanu Mississipi, gdzie oprócz wdarcia się wody morskiej głęboko w ląd, ogromnych spustoszeń dokonały tam liczne tornada. Według wstępnych obliczeń, tak wielkiej klęski żywiołowej jeszcze *nie było* w historii USA. Śmierć, choć dokładnych danych na ten temat jeszcze nie ma, poniosło ponoć tysiące ludzi, a ofiar byłoby jeszcze więcej, gdyby 0,5-milionowego Nowego Orleanu nie ewakuowano wcześniej w trzech czwartych, a większość mieszkańców jego 0,5-milionowego przedmieścia sama nie uciekła przed nawałnicą. Straty materialne zaś mogą sięgnąć dziesiątków, jeśli nie setek miliardów dolarów. A jeśli do tego dodać jeszcze fakt, że nawiedzone klęską stany i Zatoka Meksykańska odgrywają decydującą rolę w handlu zagranicznym i zaopatrywaniu USA w paliwa płynne i gazowe, to straty te mogą być wielokrotnie spotęgowane, a usunięcie ich może zabrać miesiące, jeśli nie lata. Najgorsze, że wysokie i rosnące ostatnio ceny ropy naftowej na rynku światowym, znajdujące echo na rynku



Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

krajowym, mogą jeszcze pójść w górę ze względu na braki paliw płynnych, spowodowane sparaliżowaniem południowego wybrzeża USA. Wzrost tych cen pociągnie do góry ceny innych towarów i usług.

Jak USA poradzą sobie z tą klęską - jeszcze nie wiadomo. Słysząc już bowiem głosy, że jeśli cyklon o tej sile jest zwiastunem następnych, ze względu na ocieplanie się atmosfery okołozemskiej, czego nikt dotąd nie przewidywał, to wszelkie nadzieje na wygrzebanie się kiedyś z obecnych zniszczeń mogą okazać się bez pokrycia. W międzyczasie jednak, nawiedzona klęską część USA boryka się z ogromnymi trudnościami, gdyż skala klęski zaskoczyła władze stanowe i federalne, powodując nieprawdopodobny chaos w akcji ratunkowo-pomocowej.

Trzecim wydarzeniem, w dniu dzisiejszym, była cotygodniowa moja rozmowa radiowa przed godziną 17-tą z dr Sylwestrem Skórą. O 66 rocznicy Września nie rozmawialiśmy, koncentrując się na zakończonych wczoraj uroczystościach 25-lecia narodzin Solidarności.

W swoim wystąpieniu powiedziałem, że w ubiegłym stuleciu na Polskę spadły dwie tragedie narodowe: Wrzesień 1939 r. i Lato 1980 r.

Mówiąc o Lecie 80, które przez ostatnie kilka dni królowało w warszawskiej telewizji i któremu prasa krajowa już od pewnego czasu poświęcała wiele uwagi, wspomniałem pokrótce o podłożu tego wydarzenia, które doprowadziło do następnych, jak na przykład pojawienia się na scenie dziejowej Lecha Wałęsy, powstania Solidarności, a wreszcie stanu wojennego i wszystkich płynących stąd konsekwencji. Powiedziałem, że według badań opinii publicznej w Polsce, 24 procent ankietowanych przypisuje Solidarności pozytywną rolę w dokonanych w kraju przemianach po 1989 r., 31 procent uważa ją za negatywną, a pozostałe 45 procent odmawia jej w czymkolwiek jakiegokolwiek roli. Ponad trzy czwarte Polaków ma więc złą albo nijaką opinię o Solidarności, co jest absolutną jej klęską. Licząca też kiedyś prawie 10 mln członków Solidarność, bez tej wiejskiej, dziś liczy ich tylko ok. 700 tys., nie bardzo też identyfikując się ze swoją poprzedniczką. Co gorsza, jubileuszowe uroczystości poszły dwoma torami. Obok tych nagłośnionych przez władze, w tym osobiście prezydenta oraz marszałków Sejmu i Senatu, ludzi z b. PZPR, miały miejsce mniej nagłośnione uroczystości, podczas których dawni towarzysze broni Wałęsy, jak Anna Walentynowicz, Andrzej Gwiazda i Krzysztof Wyszowski, zarzucali mu zdradę i agenturalne powiązania z SB. Od siebie zaś dodałem, że o strajku w Stoczni Gdańskiej

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

dowiedziałem się natychmiast, a będąc w parę godzin później w jednej z tzw. ważnych instytucji, ze względu na wyjazd na specjalną sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, zostałem poinformowany, że na czele strajku w stoczni gdańskiej stoi „nasz człowiek” - Lech Wałęsa. Identyczną opinię uzyskałem w trzy miesiące później z innego i źródła. Informacjom tym nie w pełni wierzyłem, ale kiedy Wałęsę spotkałem parokrotnie w maju 1981 r. w Tokio, to wywarł na mnie *złe* wrażenie. Stąd też, kiedy po opuszczeniu z rodziną placówki tokijskiej 23 grudnia 1981 r., po raz pierwszy w sześć dni później pokazano mnie publicznie, przy okazji wystąpienia przed Komisją Kongresu USA, to mimo że powiedziałem w nim wiele ciepłych słów o Solidarności, nazwiska Wałęsy nie wymieniłem. I to pomimo, że amb. Roman Spasowski, który trzy dni przedemną wystąpił o azyl polityczny w USA, na konferencji prasowej za powód swojego kroku podał aresztowanie Wałęsy. Wiedziałem o tym jeszcze w Tokio, ale w świetle podanych powyżej powodów wołałem *przemilczeć* jego nazwisko.

Przypomniałem też słuchaczom, że o powstaniu Solidarności zdecydowały trzy strajki: gdański, szczeciński, a nade wszystko górnośląski, tzw. jastrzębski, jako że w Jastrzębiu-Zdroju, dopiero 3 września 1980 r., zostało podpisane porozumienie o jego zakończeniu. Na czele tego właśnie strajku, największego ze wszystkich trzech, na który przypadła połowa z 700-tysięcznej rzeszy strajkujących latem 1980 r. robotników i innych pracowników, stał Jarosław Sienkiewicz, członek PZPR i oficer kadrowy Służby Bezpieczeństwa. Strajkowi szczecińskiemu przewodził zaś Marian Jurczyk, któremu w latach 1990-ch udowodniono agenturalne powiązania z SB, trwające od 1977 r., do czego on zresztą przyznał się, ale Sąd Najwyższy uznał, że jako agent Jurczyk nikomu krzywdy nie uczynił.

Co się zaś tyczy Wałęsy, głównego bohatera Lata 80, a następnie przywódcy Solidarności i prezydenta III RP, to również i jemu zarzucono powiązania agenturalne z SB. Ostatecznego werdyktu w tej sprawie jeszcze nie wydano, ale też Instytut Pamięci Narodowej, który wydaje certyfikaty, stwierdzające brak agenturalnych powiązań w czasach PRL, mimo usilnych zabiegów Wałęsy, certyfikatu jeszcze mu nie wydał. Dodałem też, że Edward Gierek w swojej książce-wywiadzie *Przerwana dekada* wspomina, iż w czasie jednego z posiedzeń Biura Politycznego ówczesny minister spraw wewnętrznych, Stanisław Kowalczyk, poinformował jego członków, iż Wałęsa był „jego człowiekiem”.

W tej sytuacji, kontynuowałem, wielomilionowa rzesza członków b. Solidarności, wśród których była także moja żona, została po prostu *oszukana* przez Wałęsę & Company. Na jej narodziny i rolę odegraną w życiu Polski, głównie przy Okrągłym stole, należy zatem spojrzeć od strony *agenturalnego* rodowodu niektórych jej czołowych przywódców.

Dr Skóra podzielił mój pogląd i zapowiedział, że do sprawy Solidarności powrócimy za tydzień. Jeśli istotnie do tego dojdzie, to będę w niej miał jeszcze sporo do powiedzenia.

O 1 września 1939 r. i jego następstwach, z braku czasu, nie mogłem już nic powiedzieć. Ale czyż można o nim zapomnieć, nie mówić i nie pisać? Ja mam go ciągle w pamięci, podobnie Niunia, która w Końskich przeżyła bombardowanie już w pierwszym dniu wojny.

Co się tyczy moich wspomnień, to piątek 1 września 1939 r. wrył się w moją pamięć, wówczas 9,5-letniego chłopaka, niezwykle głęboko.

Wojna dopadła mnie w moich rodzimych Pionkach, w miasteczku-osadzie w Puszczy Kozienickiej, w którym wybudowano Państwową Wytwórnę Prochu i gdzie pracował mój ojciec. Pionki, ze względów bezpieczeństwa ukryte w lesie, ogrodzone drutem kolczastym i patrolowane całą dobę przez konnych i pieszych strażników, były miejscem szczególnym w Polsce. Wstęp do nich osobom postronnym był wzbroniony, a ich mieszkańcami byli wyłącznie etniczni Polacy, a w niektórych grupach wieku b. członkowie polskich wojskowych organizacji niepodległościowych, głównie weterani wojny polsko-bolszewickiej, do których należał również mój ojciec.

Z tego też powodu, w Pionkach, jak chyba nigdzie indziej w Polsce, unosił się w powietrzu duch patriotyzmu. W święta państwowe, przestronnymi ulicami, ze względu na rzadką zabudowę ukrytych wśród drzew bloków mieszkalnych, ciągnęły różne pochody, z orkiestrą dętą i pocztami sztandarowymi na czele. Za nimi kroczyły czwórkami kolumny Zuchów, wśród których od pójścia do szkoły również i ja znajdowałem się, następnie Harcerzy, Strzelców z karabinami na ramieniu, a na końcu weteranów wojennych.

Duch patriotyczno-wojenny otaczał mnie więc od lat dziecinnych, potęgowany dodatkowo podsłuchiwanymi rozmowami weteranów wojennych. A już duch ten dochodził do szczytu, kiedy zaostrzały się stosunki z Litwą, Czechosłowacją, a następnie z Niemcami. Za każdym razem wybierałem się wtedy wraz z rówieśnikami i młodszym o półtora roku bratem na wojnę. Liczyłem, że wiek mój nie stanie temu na przeszkodzie i może jakoś uda mi się wziąć udział w jakiegokolwiek

wojnie, nieważne z kim. Ba, podobnie jak moi rówieśnicy, „zbroiłem się” na wojnę i już szkoda opisywać w co i jak.

A wojna tym razem naprawdę zbliżała się wielkimi krokami już od wiosny 1939 r., z Niemcami, a nie jakąś Litwą. Ludzie w Pionkach mało w nią wierzyli, bo Polska przecież taka silna, a Niemcy mają czołgi z dykty, ale wojenną atmosferę wyczuwało się w powietrzu...

Na letnie dwumiesięczne wakacje, spędzane zawsze u rodziców ojca i matki w powiecie koneckim, jechałem więc niechętnie, gdyż bałem się, że wojna mnie tam jakoś ominie. Pełnych wakacji jednak nie miałem, gdyż ojciec, który został w Pionkach ze względu na pracę pełną parą wytwórni prochu, ściągnął nas przed czasem do domu. Coś mówił matce, że wojna wybuchnie lada dzień, a jakby na potwierdzenie tego tuż koło naszego bloku mieszkalnego zobaczyłem nowiutkie działo przeciwlotnicze, starachowicką 75-tkę, przy której żołnierze w czarnych beretach i saperkach ćwiczyli nieprzerwanie pod okiem oficera. Radość moja nie miała granic. Co jakiś czas nadlatywał bowiem samolot, nurkował, a działo szczęknęciem iglicy zamka „zestrzeliwało” go. I tak w kółko. Oglądając te sceny, choć dotąd marzyło mi się zostać lotnikiem, teraz byłem gotów przystać na przeciwlotniczego artylerzystę...

W każdym razie, wojny nie mogłem się doczekać i ogarnął mnie szczerzy żal, kiedy chłopcy w poborowym wieku, słysząc 31 sierpnia w radio komunikat o powszechnej mobilizacji, skakali z radości. Szczęśliwcy! W kolumnie Zuchów odprowadzałem wieczorem z wielką pompą zmobilizowanych na dworzec kolejowy. Orkiestra grała *Pierwszą Brygadę*, a ja żałowałem, że wśród powołanych do wojska „szczęśliwców” nie ma mojego ojca, którego rocznik nie był objęty mobilizacją. Zmobilizowani szli czwórkami, z walizkami i tobołkami w rękę, a po bokach kolumny szły żony z dziećmi i narzeczone.

- *Za dwa tygodnie powrócimy!* - wykrzykiwali mobilizowani.

Nikt nie płakał, ani nie miał smutnej miny. Wiadomo przecież, że Niemcy to żadne wojsko, podczas gdy nasze, co widywałem w kinie, na plakatach i choćby koło domu, było uzbrojone po zęby i chętne do walki ...

Następnego dnia rano ze snu wyrwały mnie fabryczne syreny.

- *Do schronu, do schronu!* - w chwilę potem słyszę głos por. rezerwy Siejki, komendanta bloku, który wraz ze stróżem Haromińskim biegał po klatkach schodowych, łomotając w drzwi.

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

Nie wiedzieliśmy co się stało, gdyż radio było jeszcze nie włączone, a ojciec był nieobecny, pełniąc dyżur nocny w wytwórni. Szybko ubrałem się, chwyciłem maskę przeciwgazową i wraz z matką i dwojgiem młodszego rodzeństwa zbiegłem po schodach do wielkiej piwnicy, którą niedawno otynkowano od wewnątrz cementem, zaopatrzone w żelazne drzwi i zamieniono... na schron. Wkrótce był już komplet naszej połowy bloku. Ludzie zasiedli na długich ławach pod ścianą, a p. Paśnik, b. legionista, spokojnym głosem, przemówił mniej więcej tak:

*- Proszę państwa, od 5-tej rano trwa wojna. Niemcy napadły na Polskę i bombardują nasze miasta, ale proszę się nie bać, Wojsko Polskie już się bije!*

A więc to wojna? Jakoś inaczej wyobrażałem sobie jej wybuch. Siedzący obok mnie mój rówieśnik i towarzysz zabaw Mietek Myśliwiec, też jakby był zdziwiony tym co usłyszał. W schronie zapadła cisza. Chyba tylko dlatego, że każdy wsłuchiwał się, czy nie słychać warkotu nadlatujących samolotów niemieckich, w które huknie zaraz nasze działo ...

Pobyt w schronie nie trwał zbyt długo, gdyż por. Siejka, z pistoletem w kaburze, raptem pojawił się w drzwiach, rozkazując:

*- Kobiety z dziećmi proszę przygotować się do ewakuacji. Za godzinę zbiórka na podwórku. Brać tylko rzeczy najniezbędniejsze. Każda rodzina będzie mieć oddzielną podwodę, którą wskażę, gdy tylko zajadą.*

Jak to z dziećmi, ja też? Matka jednak każe mnie i Staśkowi pędzić na górę, a sama z 2,5-letnią siostrą na rękach podąża w nasze ślady. Szybko robi nam śniadanie, jednocześnie pakując jakieś rzeczy w niewielkie tobołki. Po godzinie, gotowi do ewakuacji, wyszliśmy na podwórko. Istotnie, wkrótce zjawily się podwody, dwukonne wozy chłopskie z okolicznych wsi, które nie wiem kto i jak tak szybko ściągnął do Pionek.

Nie podwody mnie jednak interesowały, ale stojąca obok naszego bloku tzw. 75-tka. Jej załoga była teraz w hełmach, dwaj żołnierze siedzieli nieruchomo na siodelkach z obu stron działa, trzymając ręce na korbkach, którymi w czasie ćwiczeń zmieniali kąt i kierunek lufy. Pozostali klęczeli lub stali, trzymając łódki z amunicją, po 5 pocisków w każdej, gdyż działo, co już wiedziałem, było szybkostrzelne, odpalając 20-25 pocisków na minutę. Podporucznik, dowódca działa, z lornetką na piersiach, stał nieruchomo, jakby cały zamieniony w słuch.

*- Pani Rurarzowa z dziećmi, proszę do mnie!* - słyszę raptem głos por. Siejki. A więc nie

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

zobaczę działa w akcji...

- *Bardzo panią proszę, nazywam się Stanisław Rojek* - kłania się uprzejmie matce mile wyglądający, rosły mężczyzna w średnim wieku, jak się wkrótce okazało sołtys ze wsi Sucha, oddalonej na wschód od Pionek o ok. 7 kilometrów.

Załadowaliśmy się na wóz.

- *Wio!* - zakrzyknął p. Rojek. Wóz ruszył. Nie popatrzyłem nawet na dom, w którym się urodziłem... Zobaczyłem go dopiero niemal w 30 lat później, kiedy z Niunią i wówczas 13-letnią Ewą przyjechałem samochodem do Pionek. Na ścianie bloku ciągle jeszcze wisiała, teraz już zardzewiała tabliczka z napisem "M-93". Do mieszkania nr. 20 jednak nie wszedłem, gdyż było zamknięte. Tylko jakaś starsza pani, spotkana na podwórku, popatrzywszy na mnie powiedziała:

- *Pan, to pewnie Dzidek Rurarz...*

Powracając po tej dygresji do wydarzeń z pierwszego dnia wojny, w czasie drogi p. Rojek opowiadał nam, że jego syn, Stanisław, jest zawodowym oficerem artylerii i pewnie jest już w ogniu. Oj, jakżeż zazdrościłem jego synowi!

Po niecałej godzinie jazdy wozem byliśmy na miejscu. Wieś Sucha, pełna drzew owocowych, robiła wrażenie dużej i zamożnej. W jej środku stały okazałe prezentujące się zabudowania państwa Rojków. Pani Rojkowa była bardzo gościnna, podobnie jak jej 14-letnia córka Zosia, nie mówiąc już o p. Rojku, który mimo sołtysich obowiązków, zawsze znajdował czas dla nas. Wczesnym popołudniem p. Rojek poszedł do sąsiada, który miał radio na kryształkach ze słuchawkami (głośnikowych na wsi bez prądu nie było), żeby wysłuchać ostatnich wiadomości.

Po niedługim czasie widzę p. Rojka biegnącego od sąsiada:

- *Proszę państwa, proszę państwa!* - krzyczy na cały głos - *Gdańsk oczyszczony z Niemców, nasza kawaleria walczy w Prusach Wschodnich!*

Radość w podwórku. Nasze wojsko bije Niemców!

I jakby na potwierdzenie tych radosnych nowin, w chwilę potem widzę do dziś niezapomnianą scenę.

Nad stacją kolejową Garbatka, oddaloną od Suchej o ok. 10 kilometrów, na pogodnym niebie, widzę krążący samolot, nie wiadomo polski czy niemiecki.

Nagle wokół samolotu coś błysnęło, a w sekundę potem znikł on w czarnej chmurze dymu. Za chwilę, jakby spod tej chmury, oderwało się coś płonącego i runęło w dół. Po chwili usłyszeliśmy też jeden głośniejszy, a drugi cichszy huk.

- *Nasi zestrzelili niemiecki samolot!* - ktoś wykrzykuje.<sup>3</sup>

Radość była krótka. Już następnego dnia, w sobotę 2 września przed południem, przeżyliśmy obserwowane z Suchej bombardowanie Pionek przez samoloty niemieckie. Jak się okazało później, Niemcy bombardowali tylko pionkowską stację kolejową, zapalając bombą pociąg wyładowany prochem, który płonął potem całymi godzinami, strzelając gejzerami ognia w niebo. Co gorsza, żaden z atakujących samolotów niemieckich, a była ich chmara, nie tylko nie został zestrzelony, ale nie widać też było koło nich czarnych pióropuszy, efekt artyleryjskiej obrony przeciwlotniczej, od rana widoczny nad bardziej odległymi od nas Dęblinem i Puławami.

Dlaczego? Co się stało? Powód tego, wyjaśnił nam ojciec, który przed wieczorem przyjechał niespodziewanie na rowerze z Pionek.

- *Całą artylerię przeciwlotniczą dziś rano zabrano z Pionek...* - słyszałem jak mówił do p. Rojka. - *Potrzebna jest gdzie indziej, gdyż sytuacja na froncie jest ciężka...*

Ciężka? Jak to, a co z oczyszczeniem Gdańska z Niemców i walkami naszej kawalerii w Prusach Wschodnich? Co ojciec opowiada?

Zapadał zmrok i ojciec odjechał z powrotem do Pionek, mówiąc do matki, co zdziwiło mnie niepomnie, że musi pilnować mieszkania, gdyż niektórzy chłopci przecinają druty i zajeżdżając furmankami rabują opustoszałe mieszkania... Jak to? Chłopi, tacy jak p. Rojek, patrioci i ludzie tak uczynni, mogą rabować?

No cóż, każda wojna - czego wtedy jeszcze nie wiedziałem - obok masowego bohaterstwa i

---

<sup>3</sup> W styczniu 1960 r. byłem służbowo w Brukseli. Radca Handlowy Frank-Wiśniewski, znany mi przelotnie z Warszawy, zaprosił mnie na kolację do restauracji w Gandawie. Kiedy dowiedział się, że pochodzę z Pionek powiedział mi, że na początku wojny służył tam w baterii artylerii przeciwlotniczej tzw. 75-tek, ochraniających stację kolejową. I właśnie jego działo zestrzeliło niemiecki samolot zwiadowczy nad Garbatką! Zaskoczony, że coś takiego było możliwe na ok. 10-kilometrową odległość, Wiśniewski wyjaśnił mi, że samolot był istotnie poza zasięgiem celnego ognia działa. Ponieważ jednak działo miało maksymalny zasięg ok. 14,5 km, więc jego dowódca tak ustawił detonator pocisku i kąt lufy, żeby spadający po paraboli pocisk rozerwał się w pobliżu krążącego samolotu niemieckiego. I udało się! Spadający po paraboli pocisk, rozrywając się w pobliżu samolotu, zapalił go. Opowieścią byłem tak zafascynowany, że postanowiłem ją zweryfikować. Coś takiego było możliwe i szkoda tylko, że 75-tek, wz. 36, produkowanych na szwedzkiej licencji w Starachowicach, zdążono do wybuchu wojny wypuścić tylko 44 na 460 zaplanowanych;

poświęcenia społeczeństwa, stwarza też okazję dla różnych mętów i innych społecznych typów i to *wszędzie* na świecie.

W niedzielę 3 września, o wiele więcej niż poprzedniego dnia, mogliśmy oglądać płynące nad nami eskadry niemieckich samolotów. Nadlatywanie ich było słyhać z daleka, gdyż obciążone bombami musiały do maksimum wyciskać moc z jęczących silników. Dźwięk ten do dziś mam w uszach... Eskadry mijały Pionki, nie próbując ich, o dziwo, bombardować. Nie domyślałem się, że będąc pewnym ich zdobycia, Niemcy chcieli mieć zakłady na chodzie i zostawiali je w spokoju.

Któregoś dnia z kolei, chyba 4 września, byłem świadkiem niezapomnianej i wstrząsającej sceny. Od strony Wisły, na niezbyt dużej wysokości, leciał w kierunku Suchej dwupłatowiec. Na prawo od niego, na znacznie większej wysokości, leciała akurat nowa eskadra niemieckich samolotów w przeciwnym kierunku. I oto raptem odłączył się od niej samolot i schodząc w dół nabierał szybkości. Za chwilę usłyszeliśmy serię z karabinu maszynowego, dwupłatowiec stanął w płomieniach i korkociągiem runął w dół. Po obu jego stronach pokazały się dwa punkciki na spadochronach. Wkrótce jeden ze spadochronów albo trafiony ogniem albo uderzony przez samolot niemiecki, zniknął, a czarny punkcik, zapewne żywy lub martwy pilot, spadał bezwładnie na ziemię... Drugi, na szczęście, nie poszedł w jego ślady, gdyż samolot niemiecki poszybował za znikającą eskadrą i zostawił go w spokoju.

Jak potem mówili ludzie, uratowanym lotnikiem polskiego dwupłatowca był kpt. Baran.<sup>4</sup>

Od tego chyba dnia drogą przez Suchą zaczęły przewalać się coraz większe masy uciekinierów. Wszyscy dążyli gdzieś za Wisłę, w strachu przed nadciągającymi Niemcami, którzy podobno mordowali Polaków. Niektórzy z uciekinierów opowiadali również, że nadchodzi francuska odsiecz gen. Weyganda, ale żeby do jej czarnych żołnierzy nie uśmiechać się, gdyż tego nie lubią...

Najwięcej dziwiło mnie, że wśród uciekinierów coraz więcej widziałem żołnierzy bez broni. Byli to zmobilizowani rezerwiści, jak mówili p. Rojkowi, których umundurowano, ale broń

---

<sup>4</sup> Jak potem to wygrzebałem w materiałach o Wrześniu, dwupłatowce w polskim lotnictwie nie były bojowymi samolotami, a jedynie pomocniczymi i stąd były łatwym łupem dla nieprzyjacielskiego myśliwca;



Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

mieli dostać gdzieś za Wisłą.

Jednego dnia, był to chyba czwartek 7 września, w domu państwa Rojków pojawiła się nagle spora grupa Strzelców z Pionek. Niektórych, gdyż byli to gimnazjaliści, znałem z widzenia. Wszyscy byli w bojowym duchu, ale nieznanymi mi dowodzący nimi kapitan, musiał zapewne myśleć inaczej, gdyż wyraźnie słyszałem, jak mówił do p. Rojka, żeby przechował mu jego pistolet z amunicją, po który kiedyś się zgłosi.

W nocy z 7-go na 8-go września - o ile dobrze pamiętam te daty - po raz pierwszy od początku wojny, usłyszałem niezbyt dalekie od Suchej huk, inne niż od bomb.

- *Artyleria wali* - mówi rozbudzony p. Rojek. Wszyscy wybiegają na podwórko. Niebo czerwieni się od pożarów i to ze wszystkich stron. Czyżby Niemcy byli tak blisko? Nikt nic nie wie, a ojca od paru dni już nie widziałem.

Nad ranem uciszyło się. Zniknęli też gdzieś uciekinierzy.

Tuż przed południem usłyszałem raptem tętent kopyt końskich. Wybiegłem przed furtkę. Drogą od Pionek widzę cwałujących na spienionych koniach kilkunastu kawalerzystów. Niektórzy byli w hełmach, w jednej ręce trzymając krótkie karabinki lufą do góry, a w drugiej uździenice. Inni byli z gołymi głowami, karabinki mieli przerzucone przez plecy, a ręce opuszczone w dół. Robili wrażenie jakby drzemiących w siodle...

Jak po latach to ustaliłem, jeźdźcy musieli być z Wileńskiej Brygady Kawalerii, dowodzonej przez płk. K. Druckiego-Lubeckiego, których w pośpiechu przerzucono z Wilna na kielecczynę, gdzie od razu weszli do boju.

Ledwie ułani zniknęli, kiedy wyraźnie dało się słyszeć szum motorów. Nad drogą, znów od Pionek, podniósł się obłoczek kurzu... Widzę jakieś zgniłozielone pojazdy... Stoję jak urzeczony i nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się skryć przed nimi. Za chwilę już widzę na zakurzonych pojazdach, jadących w odstępach jeden za drugim, czarne krzyże...

- *Niemieckie samochody pancerne!* - przemknęło mi przez głowę, gdyż podobne pojazdy widziałem raz na defiladzie Wojska Polskiego w Radomiu, na którą zabrał mnie ojciec, a ponadto miałem masę zabawek blaszanych, samolotów, czołgów i samochodów pancernych i stąd byłem „oblatany” w różnych broniach. Zbliżające się pojazdy, każdy na czterech ogumionych kołach, miały wieżyczki z wystającymi z nich krótkimi lufami. Na wieżycze pierwszego wozu otworzył

się włąz, wychyliła się głowa Niemca w jakiejś dziwacznej czapce i z wielkimi słuchawkami na uszach. Popatrzył na mnie, a pojazd, nie zatrzymując się pojechał dalej. Pozostałe podążyły za nim...

Kiedy już ochłonąłem z wrażenia, to raptem słyszę jeszcze głośniejszy szum i widzę duży tuman kurzu. Nadjeżdżają nieznane mi z żadnych obrazków i zabawek pojazdy. Z przodu mają ogumione koła, ale są na gąsienicach i wyglądają na duże i odkryte ciężarówki. Na szoferkach pojazdów widzę karabiny maszynowe. Poniżej, na ławkach, w błyszczących hełmach, siedzą jeden koło drugiego Niemcy w niebieskawych mundurach...

Zatrzymali się. Pojazdów jest kilkanaście. Słyszę niemiecką komendę. Z najbliższego mnie wozu żołnierze ściągają z szoferki karabin maszynowy (MG 34, jak po latach tego doszedłem) i ustawiają go pod gruszą po drugiej stronie drogi, celując gdzieś w pole. Pozostali szybko zeskakują na ziemię i z karabinami gotowymi do strzału rozbiegają się we wszystkie strony. Na mnie nie zwracają uwagi. Podchodzę więc powoli do najbliższego pojazdu i czytam na przymocowanej nad gąsienicami metalowej tabliczce wytłoczony napis: Made in Czechoslovakia...

Żołnierze niemieccy są młodzi, czyści i nie widać po nich żadnego zmęczenia. Za chwilę widzę, własnym oczom nie wierząc, jak jeden z Niemców, z karabinem gotowym do strzału, skądś wyprowadził dwóch polskich jeńców. Skąd? Żadnych piechurów przed południem przecież nie widziałem! Dlaczego dali wziąć się do niewoli bez boju? Nie mieli karabinów, czy nie chcieli walczyć? A jeńcy zwawo kroczą i jakby są uśmiechnięci... Nie do wiary!

W chwilę potem kolumna odjechała, ale zaraz zjawiała się następna, na motocyklach z przyczepami i z oficerem w odkrytym samochodzie. Ludzie, teraz już bez bojaźni, zaczęli wychodzić na drogę, przypatrując się z ciekawością Niemcom. Wyszła również matka z Alusią na rękę. Młody oficer, zobaczywszy dziecko z blond włosami i niebieskimi oczami, zaczął przymilnie wykrzykiwać:

- *Du, du, du...* Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że oznaczało to „ty, ty, ty...”

Inni Niemcy, jednakże, posługując się wydrukowanymi polskimi tekstami, pytają wyległych na drogę ludzi:

- *Czi są tu polszki żołnierzi?*

Ludzie krzyczą chórem, że nie ma, Niemcy nie szukają i za chwilę odjeżdżają. Znów cisza. Tylko od Wisły słychać dudniące działa...

Jak to? - pamiętam jak dziś moje zdziwienie - po tygodniu wojny dotarli tu Niemcy?

Latami nie byłem pewny, czy istotnie Niemcy zjawili się w Suchej w piątek 8 września. Postanowiłem więc rozwikłać swoje wątpliwości. Naściągałem masę materiałów historycznych z Kampanii Wrześniowej. Ano, chyba dobrze zapamiętałem datę. Po tym bowiem jak 10 Armia gen. Walthera von Reichenau, nacierająca na odcinku Katowice-Wieluń, po przełamaniu frontu wbiła się klinem na słabo bronioną kielecczyznę, jeden z jej czterech korpusów, trzy dywizyjny XVI Zmotoryzowany, dowodzony przez gen. Ericha Hoepnera, swoją 1 dywizją ogarnął wieś Suchą 8 września. Za przeciwnika miał mocno już nadwyrężoną w bojach Wileńska Brygadę Kawalerii oraz najprawdopodobniej resztki 3 Dywizję Piechoty Legionowej i 12 Dywizji Piechoty, ale tego z całą pewnością nie udało mi się ustalić.

Nagle, nie wiem jak, w Suchej zjawił się ojciec. Mówił, że Niemcy w Pionkach postawili wszędzie posterunki i że niebezpiecznie jest tam poruszać się, a nade wszystko nie ma co jeść.

Po kilku dniach, ku radości naszych gospodarzy, pojawił się, w płaszczu wojskowym, w wysokich butach i furażerze z orzełkiem, ich syn ppor. Stanisław Rojek, wyglądający bardziej na Gregory Pecka niż chłopskiego młodzieńca. Zaraz też ze swoim ojcem i moim zaczęli ożywione rozmowy. Młody Rojek liczył na odsiecz francusko-angielską, a nawet na pomoc...Armii Czerwonej. Mówił też, że jeszcze bijemy się za Wisłą, że Warszawa broni się i że nie wszystko jest stracone.<sup>5</sup>

Ale oto za parę dni gruchnęła wieść, że Armia Czerwona wkroczyła właśnie do Polski i że zamiast jej pomóc w walce z Niemcami, rozbraja i strzela do naszych żołnierzy, że Żydzi z Ukraińcami rozbrajają, a nawet mordują polskich oficerów i żołnierzy...

Okupacyjne „porządki niemieckie”, aczkolwiek w Suchej nie widziałem Niemców po 8 września, dały się wkrótce odczuć. Pan Rojek, nadal jako sołtys, skądś przynosił dwujęzyczne

---

<sup>5</sup> Jak po latach dowiedziałem się z książki pt. *Jodla*, pióra Wojciecha Borzobohatego, b. szefa Sztabu Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK, ppor. Stanisław Rojek, ps. „Andrzej”, był szefem Referatu I (organizacyjnego) Obwodu Kozienickiego AK i dowódcą jednego z plutonów. Aresztowany, uciekł Niemcom z placu egzekucji w Zwoleniu, ale śmierć dopadła Go wkrótce na polu walki. Zginął 30 września 1944 r. w lasach przysuskich, sąsiadujących z koneckimi. Chwała Mu!

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

Obwieszczenia, *Bakanntmachungen*, które przed ich rozwieszeniem po wsi z ciekawością czytałem. Za każde niemal nieposłuszeństwo wobec władz niemieckich groziła kara śmierci, a ludzie mówili, że Niemcy w sąsiedniej wsi Miroń zastrzelili nieletniego syna właściciela młyna wodnego za bawienie się amunicją...

A więc to tak. Warszawa wkrótce padła, boje w Polsce ustały, żadnej odsieczy francusko-angielskiej nikt już nie przepowiadał, a za to do ludzi dotarło wreszcie, że Niemcy i ZSRR, to naprawdę sojusznicy...

W Suchej nie było sensu już dłużej przebywać, choć państwo Rojkowie byli nadal gościnni i uprzejmi. A ponieważ ojciec mówił, że dla Niemców nie będzie w Pionkach pracował, więc nie pozostawało nam nic innego, jak opuścić Suchą i udać się do rodziny ojca we wsi Furmanów, odległej od Suchej o ok. 85 kilometrów.

Ojciec jakoś wydobył nasz dobytek z Pionek i na początku października 1939 r., na dwóch drabiniastych wozach, każdy zaprzężony w dwa konie, jeden powożony przez p. Rojka, a drugi jego sąsiada p. Malasińskiego, po dwóch dobach dotarliśmy do Furmanowa.

Po drodze widziałem długie kolumny samochodów niemieckich wypełnione wojskiem, jadące z zachodu na wschód i odwrotnie. Pod Szydłowcem widziałem obóz jeńców polskich, biwakujących pod gołym niebem za drutami i krzyczących *chleba, chleba!*. Matka wyjęła bochenek chleba, pokroiła go na ćwiartki, zawinęła je w papier, a jakiś przygodny rosły chłopak przerzucił je jeńcom poza druty. Strzegący ich Niemiec coś ryknął i pogroził nam palcem, ale chleba im nie odebrał. Zresztą, zniknął on w okamgnieniu...

W Furmanowie rodzina ojca przyjęła nas serdecznie, stryj natychmiast oddał nam do dyspozycji połowę jednorodzinnego domu oraz jedną z posiadanych dwóch krów.

I tak oto rozpoczęła się moja długa okupacyjna noc, jak po wojnie nazywano okres niemieckiego panowania w Polsce.

W Furmanowie nie mieszkaliśmy przez całą okupację, ale tam ją rozpoczęliśmy i tam zakończyliśmy.

Dziś, po wielu latach od tamtych czasów, Polski Wrzesień i jego następstwa, głęboko wryte w moją pamięć, ciągle zmuszają mnie do wielu refleksji. Do dziś prześladowe mnie *upokorzenie* Polaków, jakiego wtedy doznałem. Latami nie mogło pomieścić mi się w głowie, że

tak szybko Niemcy pokonali Polskę. Po wojnie, w okresie tzw. władzy ludowej, rzetelnej prawdy o klęsce wrześniowej nie można było dowiedzieć się. Przypisywano ją nieudolności sanacji, jej antyradzieckiej polityce i bezczynności sojuszników zachodnich. O zadanym zaś przez ZSRR nożu w plecy albo nie wspomiano, albo przedstawiano go niezgodnie z prawdą.

Dlatego też włożyłem wiele wysiłków w poznanie prawdy o Wrześniu. Całej prawdy zapewne nie poznałem, jeśli ktokolwiek ją poznał, ale doszedłem do niektórych konkluzji.

Tak na przykład, nie ulega dla mnie wątpliwości, że z wojskowego punktu widzenia, Polska nie miała **najmniejszych** szans na skuteczne stawienie czoła Niemcom. Stawianie zaś czoła Niemcom i ZSRR jednocześnie, jak to w rzeczywistości stało się, było już zupełnie niemożliwe. Stąd też wojny z Niemcami należało unikać za **wszelką** cenę. Tym bardziej, że sojusz z Francją i Anglią był co najwyżej pozorny, czego jakoś Polska nie mogła dostrzec, a w przyjazną neutralność ZSRR, w razie jej konfliktu z Niemcami, nie wolno jej było wierzyć.

Należało zatem poszukiwać **politycznego** rozwiązania narastającego konfliktu z Niemcami. Ceną takiego rozwiązania mogła być utrata polskich praw do Gdańska i utrata częściowej suwerenności w korytarzu. Ale było to **niczym** w porównaniu do utraty suwerenności i wystawienia Narodu Polskiego na zagładę.

Czy należało natomiast pójść na antyradziecki pakt z Niemcami, jak tego chciał Hitler, to już inna sprawa. Z tego co dziś wiadomo, pakt taki mógłby przez jakiś czas pozostać tylko na papierze, gdyż Hitler przed rozprawą z ZSRR zamierzał najpierw rozprawić się z Francją. Do tego jednak potrzebna była mu neutralność Polski i w istniejącej sytuacji **należało** się na nią zgodzić! Ze strony Polski była to **mała** cena. Nie jej winą było, że Francja z Anglią dopuściły do remilitaryzacji Niemiec. Niechby więc płaciły teraz za swoją lekkomyślność!

A co byłoby potem, byłby czas pomyśleć.

W Polsce, niestety, niewiele myślano o sytuacji, w jakiej ona raptem się znalazła. Przecież **nie ma** dowodów na to, że rządząca krajem Trójka, a mianowicie Mościcki, Rydz-Śmigły (lub odwrotnie) i Beck, spotykała się i usilnie dyskutowała, *jak* postępować w obliczu szybko narastającego niebezpieczeństwa. Ba, doszło nawet do tego, że Beck **zataił** przed pozostałą Dwójką żądania Ribbentropa z 24 października 1938 r., wysunięte pod adresem Polski w jego rozmowie z ambasadorem Józefem Lipskim w Berlinie! Co gorsza, Beck, rozmawiając z Hitlerem

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

4 stycznia 1939 r. w Berchtesgaden, nadal **nie rozumiał** całej grozy sytuacji zbierającej się nad Polską!

Zupełnie też niezrozumiała była wiara przedwojennych przywódców Polski, że pomiędzy hitlerowskimi Niemcami a komunistycznym ZSRR nie tylko nie może dojść do **antypolskiego** sojuszu, ale nawet wzajemnego zbliżenia się! Bułgarski premier w grudniu 1938 r. coś takiego przewidywał, a w Polsce nikt?

Gra **na zwłokę** powinna więc być dewizą polskiej polityki zagranicznej, a nie gromkie pokrzykiwania, że „nie damy guzika”!

Jest oczywiście bardzo prawdopodobne, że Polska nawet i wtedy nie uniknęłaby swojego losu, ale przynajmniej mogłaby powiedzieć, że robiła wszystko co możliwe, żeby **uniknąć** wojny, a nie ściągnąć na siebie furię Hitlera, który ze Stalinem dokonał jej IV rozbioru.

Czy Wrzesień nauczył Polaków czegokolwiek?

Na to pytanie **nie można** jeszcze odpowiedzieć. Myślę jednak, że niewiele.

Politycznego pomysłu jak brakowało Polakom, tak i nadal brakuje. A jeśli jeszcze zważyć, że Przedwrześniowa Polska, jakkolwiek nie była, rządziła się sama, a dziś rządzi nią już nie wiadomo kto, to **skąd** pewność, że Wrzesień w jakimś nowym wydaniu nie powtórzy się?

## **2 września 2005 r .**

Ze względu na przypadającą wczoraj 66 rocznicę wybuchu wojny polsko-niemieckiej, nie mogę nie wspomnieć jeszcze o innej rocznicy, która w moim konkretnym przypadku jest dla mnie niezwykle istotna. Chodzi mianowicie o 61 rocznicę bitwy pomiędzy partyzantami a Niemcami pod Grodziskiem, w którą przypadkowo zaplątałem się i tylko cudem wyszedłem z niej cało.

Bitwa rozegrała się 2 września 1944 r. pomiędzy wsią Grodziskiem a osadą Radoszyce, w powiecie koneckim na kielecczyźnie, i doczekała się wzmianek w różnych publikacjach, poświęconych polskiemu Ruchowi Oporu.

Co innego jednak opisy w formie dokumentu historycznego, a co innego przeżycia 14-letniego chłopaka, który był naocznym świadkiem bitwy.

Żeby jednak wyjaśnić jak do niej doszło, muszę dać jej szersze tło, z opisem sytuacji na tym skrawku Polski, zwanej w czasie niemieckiej okupacji Ziemią Radomsko-Kielecką,

pokrywającą się z utworzonym przez Niemców tzw. radomskim dystryktem. Skrawek ten miał w Podziemnej Polsce swój własny Okręg Radomsko-Kielecki *Jodła*, jeden z ośmiu istniejących samodzielnych Okręgów ZWZ-AK.

Na terenie Okręgu *Jodła*, polska wojna partyzancka zaczęła się *najwcześniej* w okupowanym przez Niemców kraju. Zapoczątkował ją mjr. Henryk Dobrzański, ps. „Hubal”, kawaler Krzyża Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyża Walecznych z poprzednich wojen. We Wrześniu był zastępcą dowódcy 110 rezerwowego pułku ułanów. Broni nie złożył, przechodząc z grupą wiernych mu jedenastu oficerów i podoficerów w lasy koneckie (w pobliże znanej mi wsi Zychy). Natychmiast też przystąpił do tworzenia Oddziału Wydzielonego Kawalerii Wojsk Polskich, który w pewnym momencie liczył ponad 300 oficerów i żołnierzy. Władze ZWZ<sup>6</sup> nie były temu przychylnie, słusznie obawiając się represji niemieckich, w wyniku czego Oddział został zredukowany o 2/3, ale „Hubal”, wierzący w wiosenną ofensywę francuską, w marcu 1940 r. rozpoczął partyzancką wojnę, która potem z różnym nasileniem była kontynuowana aż do końca 1944 r.

„Hubalowa wojna”, preludium partyzanckiej wojny, po 1968 r. sławiona nawet w PRL, wywarła olbrzymi wpływ na kształtowanie się patriotycznych postaw Polaków, w tym chłopców takich jak ja.

Tę wojnę, tak na dobrą sprawę, rozpoczęli Niemcy 30 marca 1940 r., zabierając się do likwidacji liczącego wówczas ok. 100 ludzi oddziału „Hubala”. Zaatakowali mianowicie miejsce postoju Oddziału we wsi Hucisko (ok. 5 km od Furmanowa, gdzie wtedy mieszkałem). W wynikłej walce zginęło 14-tu Hubalczyków, ale Niemców wielokrotnie więcej (do dziś nie wiadomo ilu).

Były to **pierwsze** strzały w polskiej wojnie partyzanckiej.

W dniu następnym, 31 marca, choć i tym razem straty niemieckie były większe od

---

<sup>6</sup> Związek Walki Zbrojnej, utworzony w listopadzie 1939 r. decyzją polskiego rządu emigracyjnego. ZWZ zastąpił istniejącą od końca kampanii wrześniowej Służbę Zwycięstwu Polski. Swoją działalnością, mającą na celu odzyskanie niepodległości Polski, ZWZ objął jej obszary zarówno pod okupacją niemiecką, jak i radziecką. Komenda Główna ZWZ, podlegająca Wodzowi Naczelnemu na uchodźstwie, do czerwca 1940 r. znajdowała się we Francji, a następnie w Warszawie. Na przełomie lat 1941/1942 ZWZ liczył ok. 100 tys. członków (jego komendantem Głównym był gen. Stefan Rowecki-Grot). Rozkazem Wodza Naczelnego gen. Kazimierza Sosnkowskiego z 14 lutego 1942 r. ZWZ został przemianowany na AK, Armię Krajową;

polskich, otoczeni „Hubalczycy” zaczęli rozpraszać się, w wyniku czego kierownictwo ZWZ rozkazało „Hubalowi” natychmiastowe rozformowanie Oddziału. „Hubal” jednak nie wykonał rozkazu i Niemcy, niezależnie od prób zniszczenia Oddziału, przeszli do krwawego odwetu na ludności cywilnej, przeprowadzając 11 kwietnia 1940 r. **pierwszą** i na wielką skalę tzw. pacyfikację w okupowanej przez nich Polsce, którą widziałem z oddali. Wczesnym bowiem rankiem tego dnia, zbudził nas w Furmanowie szum motorów. Z okien zobaczyłem na drodze z Niekłania do Bokowa i dalej Huciska, kolumnę bud (wojskowych ciężarówek), z których wysypywali się w hełmach liczni Niemcy. W chwilę potem, sformowali potrójną tyralierę, która zaczęła posuwać się w kierunku lasu, za którym były wsie Hucisko i Skłoby. Była to tzw. obława, którą po raz pierwszy zobaczyłem w życiu (jak to po latach wyczytałem, w obławie brało udział ok. 12 tys. Niemców). Obława zniknęła w lesie, a wkrótce potem dały się słyszeć oddalone strzały i tuż potem nad lasem uniosły się dwa kłęby dymu, jeden większy, a drugi mniejszy.

- *Ploną Skłoby i Hucisko...*- słyszę krzyki przerażonych ludzi.

Na spaleniu tych wsi nie był jednak koniec ich tragedii. Wkrótce bowiem dowiedziałem się, że Niemcy rozstrzelali w Skłobach 215 mężczyzn i chłopaków (od 14-tu lat w górę), a w Hucisku rozerwali granatami w dole 30 chłopów...

„Pacyfikacje”, trwające ok. 3 tygodni, objęły szereg innych wsi, w wyniku których zginęło ok. 700 Polaków. Wreszcie, trwające bez przerwy obławy, doprowadziły 30 kwietnia 1940 r. do śmierci „Hubala” (w co ludzie długo nie wierzyli). Wtedy dopiero, liczący już tylko ok. 40-tu ludzi, Oddział „Hubala” został rozwiązany, a wojna partyzancka, której preludeum była „hubalowa wojna”, zamarła tym samym na pewien czas.

Bilans jej, licząc straty w ludności cywilnej, był dla Polaków jeszcze bardziej niekorzystny niż w 1939 r., ale na wojnie arytmetyka *nie ma* decydującego znaczenia. Jakkolwiek bezsensowna od strony wojskowej, „hubalowa wojna” rozпалиła jednakże żądzę walki i zemsty wśród Polaków, szczególnie wśród ludzi młodych. Fakt, że *Hubalczyków* ginęło w walce *wielokrotnie* mniej niż Niemców, nie tak jak we Wrześniu, gdzie średnio zabicie jednego Wehrmachtowca kosztowało życie pięciu polskich żołnierzy, spowodował nadmierną wiarę w skuteczność wojny partyzanckiej. Kilka lat później, kiedy wojna partyzancka rozgorzała w Polsce już na dobre, miało to swoje



tragiczne w skutkach konsekwencje, gdyż wierzono, że Visy były na Tygrysy...<sup>7</sup>

W moim zaś konkretnym przypadku, skutek „hubalowej wojny” był taki, że, wystraszeni pacyfikacjami, wyjechaliśmy z matką w okolice Radoszyc, gdzie mieszkali jej rodzice i rodzeństwo (ojciec, pracując w kopalni rudy w Chlewiskach, pozostał na miejscu). Ponieważ jednak pacyfikacje ustały, więc znów powróciliśmy do Furmanowa. W marcu 1941 r., jednakże, Niemcy, przygotowując się do wojny z ZSRR, zajęli niekłańską szkołę na kwatery i znów trzeba było wracać do rodziny matki, abym mógł chodzić z bratem do szkoły w Radoszycach. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej dołączył do nas ojciec i już całą rodziną zamieszkaliśmy w Radoszycach, aż do jesieni 1944 r.

Tam też głównie, początkowo tylko o niej słysząc, a potem także ją widząc, przeżyłem następne dwa akty polskiej wojny partyzanckiej.<sup>8</sup>

O wydarzeniach cytowanych poniżej dowiedziałem się już w wiele lat po wojnie, ale echo ich docierało do mnie w tej czy innej formie i skali jeszcze w czasie wojny.

A więc, po rozformowaniu Hubalczyków na Ziemi Koneckiej, która miała w Okręgu ZWZ/AK „Jodła” swój własny, jeden z dwunastu, Obwód Koński zwany „Dalia”, a potem „Konrad”. Akt II partyzanckiej wojny, wtedy jeszcze w ograniczonej skali, zaczął się od połowy 1941 r. i trwał do kwietnia 1943 r. W Obwodzie Koneckim jego głównym aktorem był Oddział pchor. „Cumulusa” (Zygmunta Wyrwicza), którego grupa, nigdy nie przekraczająca 21 ludzi, doraźnie tworzona do akcji spośród zakonspirowanych plutonów, prowadziła różne akcje zaczepne. Jedną z nich był atak na więzienie w Końskich w nocy z 2 na 3 listopada 1942 r., w wyniku którego uwolniono aresztowanych (w tym moją babcię i ciotkę).

Tym niemniej, Armia Krajowa, aż do drugiej połowy 1943 r., nie podejmowała większych akcji zbrojnych. Od połowy 1943 r., jednakże, Kedyw zaczął organizować leśne oddziały partyzanckie i w Okręgu „Jodła” utworzono w lipcu 1943 r. 200-osobowe Zgrupowanie

---

<sup>7</sup> Vis, kal. 9 mm, z magazynkiem na 8 naboí, był pistoletem polskiej produkcji. Tygrys był 56-tonowym czołgiem niemieckim, uzbrojonym w armatę kal. 88 mm i 2 karabiny maszynowe;

<sup>8</sup> Kierownictwo ZWZ, z różnych względów, ze zbrojnego oporu nie mogło zrezygnować, a problemem była tylko jego skala i charakter. Stąd, w kwietniu 1940 r., utworzono ZO, Związek Odwetu, który na przełomie lat 1942/1943 został przekształcony w Kedyw, Kierownictwo Dywersji AK. Kedyw, niezależnie od operacji na mniejszą skalę, przechodził także do większych, których ogólnie udany przebieg zyskał mu zasłużoną sławę;

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

Partyzanckie „Ponury” (od pseudonimu jego dowódcy, por./kpt. Jana Piwnika). Zgrupowanie, działające i stacjonujące głównie na obszarze Gór Świętokrzyskich, sąsiadujących z Obwodem Końskie, przeszło natychmiast do udanych działań zaczepnych, na które Niemcy, jak to czynili już poprzednio, odpowiedzieli masowymi represjami. Były też olbrzymie trudności z zakwaterowaniem i wyżywieniem rozrastającego się ponad przewidziany limit Zgrupowania, wobec czego „Ponury” podzielił go na trzy samodzielne Zgrupowania, liczące łącznie ok. 400 ludzi. Jedno z nich, „Robota” (ppor./por. Waldemar Szwiec), objęło swoim działaniem Obwód Końskie, dokonując na jego terenie szeregu udanych akcji.

O trzech z nich przypomnę, gdyż było o nich głośno i nawet ja o nich słyszałem.

Pierwszą było opanowanie przez ok. 100-osobowy oddział „Robota”, w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1943 r. miasta Końskie, w którym siły niemieckie wynosiły ok. 1,7 tys. ludzi! Oddział, bez strat własnych, zabił sześciu Niemców, wielu ranił, wykonał wyrok na dwóch konfidentach, a ponadto zarekwirował wiele cennych towarów.

Drugą było opanowanie 4 września 1943 r. stacji Wólka Plebańska niedaleko Końskich i zaatakowanie pociągu osobowego z Niemcami. Przy stratach własnych 2 zabitych, zabito wtedy 16-tu Niemców, a wielu raniono.

Trzecią akcją było zaatakowanie 13 września 1943 r. niemieckich żandarmów, palących i mordujących chłopów we wsi Smarków. Przy 3 zabitych partyzantach, zabito 29-ciu żandarmów.

Sukcesy partyzantów na polu walki, były **więcej** niż rekompensowane, niestety, stratami wśród polskiej ludności cywilnej w wyniku niemieckiego odwetu, których lista tylko na Ziemi Koneckiej jest długa. Niezależnie od masowych egzekucji i palenia wsi oraz miasteczek, plagą zaczęły być masowe aresztowania. W liczących wtedy 7 tys. mieszkańców Końskich, w nocy z 19 na 20 sierpnia 1943 r. Niemcy aresztowali ok. 500 osób, które wywieziono do obozów koncentracyjnych. Większość aresztowanych przeżyła, co prawda, choć często z nadszarpniętym zdrowiem. Rzecz jasna, aresztowani byli wyłączeni z walki już do końca wojny.

W sumie więc, bilans wznawianej partyzanckiej wojny zaczął stawać się znów wysoce **niekorzystny** dla Polaków.

Niemcy zresztą, nie tylko mścili się na ludności cywilnej, ale zaczęli dobierać się także do partyzantów. I tak, 14 października 1943 r., opierając się na donosie, zaskoczyli na melinie u

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

kuzyna ojca, Franciszka Rurarza, ps. „Oset” (mieszkańca Wielkiej Wsi, sąsiadującej z Furmanowem), por. Waldemara Szwieca-Robota, przebywającego tam z powodu choroby. Pomimo zaciętej obrony, „Robot” wraz z 5-osobową ochroną zginął. „Oset” był wtedy w Zgrupowaniu i uniknął śmierci, ale jego żonę wraz z dwojgiem małych dzieci Niemcy spalili żywcem w domu.

Kolejny więc akt wojny partyzanckiej spotkała klęska, w rezultacie czego znów zamarła ona na kilkanaście miesięcy.

O tej wojnie i jej żołnierzach, tzw. chłopcach z lasu, jak nazywano nie tylko na Kielecczyźnie partyzantów, słyszałem zatem wiele już od przełomu lat 1939/1940, ale długo nie widziałem ich na oczy. Za partyzantów nie brałem bowiem *placówkowiczów*, takich jak ojciec, st. sierżanta „Urbanowicza”, czy innych jego pokroju, włącznie z kpt. Michałem Niwińskim-Krokiem, komendantem Placówki AK Radoszyce.

Partyzantów natomiast słyszałem w Radoszycach, gdzie dwukrotnie w nocy mieli pojedynki ogniowe z żandarmami, ale na oczy długo ich nie widziałem. Wiedziałem natomiast, że partyzanci nie byli spod jednego znaku. Obok bowiem partyzantów AK byli jeszcze „narodowcy”, członkowie Narodowych Sił Zbrojnych, „ludowcy”, których nazywano też komunistami, choć o GL, Gwardii Ludowej, nigdy nie słyszałem, a o AL, Armii Ludowej, usłyszałem dopiero latem 1944 r., podobnie jak o „chłopskich partyzantach” z Batalionów Chłopskich, BCh.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem „prawdziwych partyzantów”, tych z AK, dopiero w czerwcu 1944 r., podczas odwiedzin w Furmanowie.

W nocy z 5 na 6 czerwca 1944 r. usłyszałem, z kierunku oddalonych o ok. 14 km w linii prostej Końskich, słabe huki i odgłosy strzelaniny. Wybiegłem przed dom, gdzie był już stryj i jego syn Mietek, którzy wpatrywali się w jasną lunę na niebie w kierunku Końskich. Spać mi się odechciało i już pozostałem na dworze. A kiedy po jakimś czasie zaczęło jaśnieć, to zauważyłem od strony Wielkiej Wsi idącą gęsiego w stronę Furmanowa jakąś kolumnę.

Wkrótce oczom moim ukazał się do dziś niezapomniany widok. Na przedzie szła szpica, złożona z trzech partyzantów w czarnych mundurach i beretach z białymi orzełkami. W rękach mieli gotowe do strzału automaty MP-40, Schmeissery kal. 9 mm, z magazynkami na 32 naboje, jak się potem dowiedziałem. Za szpicą, w odstępnie ok. 50 metrów, zobaczyłem oficera w polskim

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

mundurze i czarnym berecie, z mapnikiem i pistoletem w kaburze u pasa. Po obu jego stronach i nieco w tyle szło kilku partyzantów z erkaemem (okazało się, polskiej produkcji przedwojennej). Za nimi podążało sznurem kilkudziesięciu partyzantów, a na końcu szło ubezpieczenie tylne, złożone z trzech partyzantów, dwóch z karabinami, a jeden z MP-40.<sup>9</sup>

Widokiem partyzantów byłem tak urzeczoną, że długo nie mogłem ochłonąć z wrażenia. Kolumna zniknęła tuż za stawem w lesie chlewiskim...

Ale już na drugi dzień znów zjawili się w Furmanowie partyzanci, tym razem mniej liczni i dowodzeni nie przez oficera, ale przez plutonowego.<sup>10</sup> Gdy tylko weszli do Furmanowa, zostali nagle zaalarmowani, że Niemcy w odległym o kilometr Niekłaniu Dużym byli w pościgu za nimi. Słyszając to, partyzanci nie uciekli, ale urządzili na nich zasadzkę w Furmanowie.

Ludzie, widząc co się święci, wpadli w popłoch, a ja nie mogłem doczekać się wpadających w zasadzkę Niemców!

Nie wpadli, niestety, bo nie zjawili się w Furmanowie. Dowodzący zaś oddziałem partyzantów plutonowy, nie więcej niż 20-letni i rosły młodzieniec, chwilę pozostał w Furmanowie, korzystając z gościnności ludzi, którzy częstowali „chłopaków” czym tylko mogli. Oni zaś jedząc i żartując, cieszyli się, że Amerykanie i Anglicy, którzy dopiero co wylądowali w Normandii, przyjdą teraz wkrótce do Polski... Przedtem jednak przyrzekali dołożyć Niemcom ...

No cóż, nie wiedzieli biedacy, że 23 czerwca rozpocznie się Białoruska Operacja Bagration, w której 2,4 mln czerwonoarmistów, uzbrojonych w 39 tys. dział i moździerz, 5,2 tys. czołgów i dział samobieżnych oraz ok. 7 tys. samolotów, uderzy na dwukrotnie mniej licznych i słabiej uzbrojonych Niemców i że odrzuci ich na zachód o 400 kilometrów. Nie wiedzieli też, że Armia Czerwona dojdzie do Wisły już za siedem tygodni, a zachodni Alianci dopiero w marcu

---

<sup>9</sup> Tym z automatem był Zdzisław Wielgosiński, ps. „Granit”, późniejszy mój sąsiad w Końskich. Automat zdobył, posługując się siekierką, kilkanaście dni wcześniej na stacji w Końskich, rozbrajając Niemca w biały dzień, w obecności masy innych Niemców na peronie. Ze zdobytą bronią, mimo huraganowego ognia Niemców ze stacji oraz kwatrujących w pobliskiej szkole (plot podziurawiony gęsto kulami świadczył o tym latami), Wielgosiński uciekł i dołączył do „Szarego”;

<sup>10</sup> Jak potem się dowiedziałem, był nim „Wrzos”, Mieczysław Zasada ze Starego Młyna, sąsiadującego z Końskimi, wkrótce awansowany do stopnia sierżanta jako dowódca 2 plutonu 5 kompanii w 2 batalionie 3 pułku odtwarzanej 2 Legionowej Dywizji Piechoty Korpusu Kieleckiego AK. Słynny z odwagi, okupację niemiecką przeżył, ale tuż po wkroczeniu do Końskich w styczniu 1945 r. Armii Czerwonej, został wraz z innymi ośmioma akowcami aresztowany, dołączony do kolumny jeńców niemieckich i pognany do kopalni w Donbasie. Po dwóch latach stamtąd wrócił, ale skarżył się na bóle głowy (mówił mi o tym) i wkrótce zmarł. Byłem na Jego pogrzebie.

1945 r. sforsują Ren...

Powracając do spotkania z „chłopakami”, to nie bez dumy mówili, że są od „Szarego”. Po raz pierwszy usłyszałem ten pseudonim i dopiero po latach poznałem prawdziwe jego nazwisko.<sup>11</sup> Już wkrótce jednak, „Szarego” widywałem często w Radoszycach i byłem pewny, że to jego widziałem w czerwcu nad ranem w Furmanowie. Nie przypuszczałem też, że już niedługo zobaczę go w sytuacji, o której piszę poniżej. Chciałbym jednak przedtem zaznaczyć, że „Szary” stał się tak sławny na Ziemi Koneckiej, że krążył o nim taki oto dwuwiersz:

„Hubal”, „Ponury”, „Nurt” i „Szary”,  
to partyzantki polskiej filary...

W przypadku „Hubala” i „Ponurego” filary są nieco kontrowersyjne z powodu ich niesubordynacji, ale w przypadku „Szarego”, o którym śpiewano piosenki „*Anteczku, nasz bohaterze*”, jest to niewątpliwie prawdą. To **autentyczny** polski Bohater Narodowy.

„Szary” właśnie, przynajmniej na Ziemi Koneckiej, odegrał *główną* rolę w Akcie III polskiej „wojny partyzanckiej”.

Częsta obecność „chłopaków” w Furmanowie zniechęcała mnie do powrotu do Radoszyc, gdyż miałem cichą nadzieję, że może zaciągnę się do „Szarego”... Raz nawet zapytałem jednego, „Zagłobę”<sup>12</sup>, który chętnie wdawał się ze mną w rozmowy, czy nie pomógłby mi z tym zaciągiem. Odpowiedział mi całkiem poważnie, że poniżej 18-u lat do „Szarego” z reguły nie biorą, a ponadto

---

<sup>11</sup> Urodzony w 1916 r. w chłopskiej rodzinie w powiecie iłżeckim na Kielecczyźnie, Antoni Heda-Szary, do niedawna ciągle jeszcze aktywny pułkownik w stanie spoczynku, brał udział w kampanii wrześniowej i niemal od początku był w Podziemiu. Stworzył własny oddział partyzancki, który następnie podporządkował Okręgowi „Jodła”. Od czerwca 1944 r., wskutek zaistniałych okoliczności (jego zastępcę i inne towarzyszące mu osoby Niemcy aresztowali w pociągu na stacji Czarniecka Góra, zabierając więźniów do pobliskich Końskich), „Szary”, będący w dyspozycji Starachowickiego Inspektoratu, niższego szczebla dowodzenia w Okręgu, ale wyższego od Obwodu Końskie, został przeniesiony na jego teren. Po przeniesieniu w koneckie, „Szary” postanowił odbić wspomnianych więźniów. Odbicia dokonał w nocy z 5 na 6 czerwca 1944 r. Dowodząc 120-osobowym oddziałem, mimo obecności ponad tysiąca Niemców, „Szary”, tracąc tylko czterech ludzi, zabił 17-tu Niemców, rozbił koneckie więzienie i uwolnił nie tylko swojego zastępcę, ale jeszcze 60-ciu innych aresztowanych.

Od tego czasu „Szary” pozostał na terenie Obwodu Końskie, dokonując szeregu niezwykle śmiałych i udanych akcji. A ponieważ w związku z rozpoczętą w końcu czerwca mobilizacją i odtwarzaniem 2 Dywizji Piechoty Legionowej, której 3-cim Pułkiem miał być konecko-iłżecki (w końcu był tylko konecki), to tym bardziej „Szary” miał powody to pozostania w Obwodzie Końskie. W Dywizji, w połowie sierpnia 1944 r., ppor. „Szary” został dowódcą 2 Batalionu 3 Pułku, mając pod swoimi rozkazami ok. 750 ludzi. W dniu 8 października 1944 r., awansowany do stopnia porucznika, „Szary” objął dowództwo 3 Pułku, którego stan wynosił wtedy już tylko 535 ludzi i topniał nadal. W styczniu 1945 r. ofensywa radziecka zastała go na melinie w Radomiu. W sierpniu 1945 r., dowodząc stworzonym przez siebie oddziałem, „Szary” dokonał ataku na więzienie w Kielcach, wyzwalając z niego wielu akowców. Zdradzony w 1949 r., „Szary” wpadł w ręce UB i został skazany na karę śmierci (wyroku, dzięki interwencji marsz. K. Rokossowskiego, nie wykonano i w listopadzie 1956 r. „Szary” wyszedł na wolność).

<sup>12</sup> Po latach zidentyfikowałem „Zagłobę”, którym był sierż. Czesław Kosierowicz.

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

brakuje broni, choć może wszystko to zmieni się jak rozkręci się mobilizacja i nastąpią zrzuty z Anglii.

„Szary” tymczasem aktywnie działał, odnosząc kolejne sukcesy, łącznie ze zdobyciem pociągu z amunicją na stacji Sołtyków.

Ponieważ nic z mojego zaciągu do „Szarego” nie wychodziło, więc postanowiłem pojechać do rodzimych Pionek, których nie widziałem od września 1939 r. Ledwie dojechałem pociągiem do Radomia, gdy gruchnęła wieść, że „Ruscy” przekroczyli Bug i pędzą w kierunku Wisły! Z trudem wydostałem się z Radomia, a tu niespodzianka - w Furmanowie kwaterują Niemcy!

Powróciłem więc do Radoszyc i tu spotkała mnie nowa niespodzianka. Kilkanaście dni wcześniej uciekła z nich żandarmeria i na tym skrawku ziemi istniała już Niepodległa Polska! Miasteczkiem rządziła lokalna Placówka AK, na rynku i przyległych ulicach pełno było różnych partyzantów, najwięcej z AK, gdyż mobilizacja jej oddziałów była w toku, ale nie brakowało też partyzantów z AL, NSZ i radzieckich skoczaków.

Moje szczęście nie miało więc granic i nie zakłócały go nawet takie „niepodległościowe realia” jak brak chleba, gdyż piekarnia, wypiekająca dotąd chleb na kartki z przydziałowej mąki, teraz kartek nie przyjmowała, a za gotówkę sprzedawała go tylko w teorii. Nie mogła bowiem nastarczyć z pieczeniem chleba dla partyzantów, a ponadto nie miała mąki, gdyż zboża nie było gdzie zemleć, jako że Niemcy już dawno unieruchomili wiatraki i inne młyny. Chłopi na dobitkę nie chcieli nic sprzedawać za tzw. młynarki, guberniane złote, a innych pieniędzy nie było. Na szczęście, ludzie jak mogli tak sobie pomagali.

Odnośnie zaś prowadzonej mobilizacji oddziałów AK, zarządzanej przez jej Komendanta Głównego w związku ze stopniowym wprowadzaniem w życie od marca 1944 r. planu „Burza”, w miarę jak Front Wschodni zaczął w rosnącym tempie sunąć na zachód, to jak po latach dowiedziałem się, na Kielecczyźnie były z nią kłopoty. Wybuchło bowiem Powstanie Warszawskie i Komendant AK 14 sierpnia rozkazał Okręgowi przyjść mu z pomocą, którą nazwano Operacją „Zemsta”. W rezultacie tego, 15 sierpnia rozbudowywane pośpiesznie pułki i bataliony zaczęły maszerować na wyznaczone miejsca koncentracji. Zaczęto też odtwarzać tzw. Wielkie Jednostki, ale z ambitnych planów wyszło niewiele. Jako tako odtworzono 2 Dywizję Piechoty i samodzielny 72 Pułk Piechoty, ale z odtworzeniem 7 Dywizji Piechoty były kłopoty.

Zdzisław M. Rurarz  
[Niewydane pamiętniki]  
Rozdział VI (lipiec-wrzesień 2005 r.)

Stąd, tworzony Kielecki Korpus, obliczony na 50-tysięczny stan, zredukowano do ok. 30 tys. ludzi, a uzbrojono jedynie niecałe 5 tysięcy.

Tak okrojony Korpus, bez broni ciężkiej i motoryzacji, nie mówiąc już o lotnictwie, ruszył na odsiecz walczącej Warszawie. Marsz jego został jednak po drodze zaniechany 23 sierpnia (za zgodą Komendanta AK), gdyż wyjście Korpusu z lasu na otwartą przestrzeń groziło mu klęską. Korpus miał w zamian przejść do „Burzy” na terenie Okręgu. Tymczasem Front Wschodni zatrzymał się na Wiśle i tylko z przyczółku sandomierskiego słychać było nocą kanonadę artyleryjską, ale to wszystko. Niemcy, wobec tego, mając Korpus tuż na swoim zapleczu, zabrali się do jego rozbicia siłami, które na terenie Radomsko-Kieleckiego Okręgu liczyły ok. 30 dywizji oraz 6 innych Wielkich Jednostek, wynosząc łącznie ponad 200 tys. po zęby uzbrojonych wojsk, do których należało jeszcze dodać siły policyjne i własowców. Walki na dużą skalę, bądź z inicjatywy Niemców bądź partyzantów, stawały się więc coraz częstsze i jedną z nich widziałem na własne oczy i to z bardzo bliska.

Sobota, 2 września 1944 r. zaczęła się w Radoszycach słoneczną i ciepłą pogodą. Od rana kręciłem się po rynku, zawsze pełnym partyzantów różnych formacji, ale tego rana prawie ich nie było. Koło południa zjawił się jakiś oficer na koniu, z karabinkiem kawaleryjskim, pistoletem u pasa i dwoma „kopyściami” (niemieckimi granatami) za pasem. Uradowanemu bratu Staśkowi pozwolił prowadzić za sobą konia, a sam coś ludzi wypytywał. Przed piekarnię zajechał następnie po chleb wóz z trzema partyzantami. Jeden z nich, z pepeszą, był moim rówieśnikiem. Szczęśliwiec! Nie wiedziałem, że już wkrótce przejdzie on bezimiennie do historii...

Z rynku powróciłem do domu i na prośbę matki poszedłem na dzierzawioną przez nas 10-arówą działkę, położoną o ok. 2 kilometry, żeby wykopać trochę kartofli. W krótkich spodenkach, koszuli z zawiniętymi rękawami, boso, z motyką i woreczkiem, udałem się więc w stronę wsi Grodzisko. Doszedłem drogą do białej figurki Matki Boskiej, stojącej na skarpie pomiędzy dwoma dzikimi gruszami. Droga schodziła od tego miejsca półkolem w dół, do Grodziska, a od mostku na rzece znów półkolem pięła się w górę. Z lewej strony drogi był rów i widok na pastwisko z rozlewistą rzeczką oraz na wsie Kotrasy i Momocichę. Na wprost zaś widać było odległe o ok. 0,5 kilometra pierwsze zabudowania Grodziska, a na prawo wysoka skarpa zasłaniała jakikolwiek widok. Wdrapałem się na nią tuż przy figurce, skąd w dół ciągnęła się długa na ok. 100 metrów

nasza działka. Przy jej końcu zaczynało się rozległe, przecięte rzeczką pastwisko, na którym pasły się samotnie krowy. W oddali, o jakieś dwa kilometry, widniał las z charakterystyczną na jego skraju górą piaskową, za którą była wieś Zychy. Zszedłem w dół, może z 80 metrów i kiedy już miałem zabrać się do kopania kartofli, usłyszałem szum motorów. Spojrzałem w tym kierunku i zamarłem z wrażenia. Od strony Grodziska wspinało się po drodze w kierunku figury pięć niemieckich bud z erkaemami na szoferkach (odkrytego samochodu osobowego na czele kolumny, schowanego za skarpą, nie zauważyłem). Raptem pierwsza ciężarówka, z Niemcem przy erkaemie na szoferce, gwałtownie zahamowała. I co widzę? Na lewo od ciężarówki cwałuje oficer na koniu, którego rano widziałem w Radoszycach! Nie widząc drogi za wzniesieniem, oficer zapewne nie dojrzał ani nie usłyszał niemieckich samochodów.

W chwilę później usłyszałem serię z erkaemu z ciężarówki naprzeciwko mnie. Jeździec jakby się zapadł... Strzelanina rozpętała się teraz na całego, przerywana dwoma hukami granatów. I gdy tak stałem oniemiały z wrażenia, dojrzałem nagle, że ten sam Niemiec, który otworzył ogień do jeźdźca, okręca na szoferce erkaem i...mierzy prosto we mnie! Odruchowo padłem w bruzdę. W tym momencie ze świstem przeleciały tuż nade mną kule. Inne pacnęły w kartoflisko, zasypując mnie ziemią i nacią ziemniaczaną... Nie poczułem, żeby któraś z kul trafiła mnie...

Tym co się stało, nie byłem bynajmniej przerażony, gdyż tak bardzo zafascynował mnie świst kul, który usłyszałem po raz pierwszy w życiu, że nie odczuwałem żadnego lęku. Tym niemniej, leżałem nadal wciśnięty w kartoflisko i nadśluchiwałem, czy Niemcy nie biegną w moim kierunku.

Strzelanina tymczasem trwała nadal, przenosząc się w stronę Grodziska. Po chwili jednak zrobiło się i tam cicho. Usłyszałem też szum oddalających się w kierunku Radoszyc samochodów. Już miałem się podnieść i gdzieś uciekać, ale zza skarpy nie tylko doszły do mnie niemieckie głosy, ale również ze świstem, tym razem jakby wyżej, przeleciały nade mną serie z erkaemu. Po chwili, teraz z kolei od strony lasu, ponownie zaświstały nade mną inne kule, z niektóre z których uderzyły w kartoflisko...<sup>13</sup>

---

<sup>13</sup> Jak się potem dowiedziałem, ogień od strony lasy prowadził oddział NSZ „Starego” z polskiego przedwojennego ciężkiego karabinu maszynowego, który raził cele nawet na odległość 4,5 tys. metrów;



Nie pozostawało mi więc nic innego, jak nadal leżeć nieruchomo.

Po jakimś czasie, od strony Radoszyc, usłyszałem znów gwałtowną strzelaninę, przerywaną hukami granatów. Poczułem też swąd spalenizny, ale skąd? Głowy nie mogłem podnieść, gdyż znów dotarł do mnie szum jakby jadących od Radoszyc w stronę Grodziska samochodów. Nieprzerwanie trwała też strzelanina. Po chwili stało się cicho i myślałem, że Niemcy już odjechali, ale oto znów zza skarpy usłyszałem ich głosy. Na szczęście dla mnie, od strony lasu ostrzał ustał, ale za to wzmógł się spoza skarpy, tyle tylko, że już nie w moim kierunku.

Co robić? Czas się włókł, nieruchome leżenie zaczęło mnie nudzić, a ponieważ naprawdę nie czułem strachu, więc miałem zamiar zerwać się i pobiec w dół przez pastwisko do koryta przecinającej je rzeki. Nic z tego! Oto raptem słyszę od strony Grodziska wzmożoną strzelaninę, huki granatów i polskie głosy!

- *Erkaem do przodu!* - ktoś krzyczy rozkazującym głosem.

Nie wytrzymałem. Zrywam się na równe nogi i co widzę? O jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, pochylony i z bagnetem na karabinie, blady, z szeroko otwartymi oczami i głową wciśniętą w ramiona, sunie umundurowany na czarno partyzant od „Szarego”!

- *Padnij!* - wrzeszczy na mnie, ale go nie słucham i z motyką w rękę „nacieram” razem z nim w kierunku skarpy, za którą toczy się zażarty bój. Zza skarpy lecą w górę granaty i eksplodują w powietrzu, odłamki świszczą, strzelanina jak diabli... W drugą stronę też lecą granaty, zamasyście rzucane - tak wydawało mi - się przez „Szarego”<sup>14</sup>...

- *Hände hoch! Ręce do góry!* - słyszę głosy partyzantów, a po nich padają gęsto pojedyncze strzały, serie z erakemów i peemów, a wtórują im huki granatów. Kurz i dym biją w górę zza skarpy. Dobiegam do niej, staję na jej skraju i co widzę? Rów z lewej strony drogi zasłany jest niemieckimi trupami! Nad jednym z leżących na wznak Niemców, stoi z gołą głową i okraciem partyzant, chyba nie od „Szarego”, bo w mundurze khaki i oburącz, bagnetem nałożonym na karabin, zatapia go w klatkę piersiową i brzuch swojej ofiary. Czternaście... - tyle naliczyłem uderzeń, a leżący z otwartymi oczami Niemiec prawą ręką ciągle jeszcze chwytą za bagnet...

---

<sup>14</sup> Tak istotnie było, jak to później wyczytałem w pamiętnikach „Szarego”.

- *Przestań, on nie żyje!* - krzyczy biegnący z Visem w rękę i z zakrwawionym policzkiem „Szary”. Partyzant przestał i ręka Niemca opadła bezwładnie...

„Szary”, główny bohater bitwy pod Grodziskiem, w swoich wydanych w Warszawie w 1992 r. *Wspomnieniach* o tej scenie z Niemcem kłutym bagnetem też wspomina, dodając nawet jak do niej doszło. Było inaczej, ale wersji „Szarego” nie będę poprawiał.

Na skraju skarpy widzę kilku „chłopaków” od „Szarego”, jak pochylają się nad leżącym i trupio bladym kolegą. Oczy jego nieruchomo wpatrują się w niebo. Koledzy klepią go po twarzy, ale on nie rusza się... Potem widzę drugiego, z zakrwawioną głową, a raczej strzępami głowy.... Byli to „Zenek” i „Korwin”, obaj od „Szarego”.<sup>15</sup>

- *A ten chłopiec, panie poruczniku, to mój kolega szkolny z Nieklania, przydałby się nam - słyszę znajomy mi głos.*

Tadek Urban z Małego Nieklania, mój kolega z klasy, choć starszy ode mnie o cztery lata - rozpoznaję go bez trudu, jak potem to ustaliłem o pseudonimie „Orlik”. „Szary” jednak gdzieś popędził, ale któryś z partyzantów, słysząc co mówił „Orlik”, dał mi świeżo ściągnięte saperki z zabitego Niemca. Może myślał, że zaraz do oddziału dołączę i nie chciał mieć bosego kolegi...

Nie wiem czy bym dołączył, gdyż „Szary” tak łatwo do swojego oddziału nie przyjmował, ale kiedy już ochłonąłem z bitewnego wrażenia, to wtedy dopiero zauważyłem, że płonie nie tylko Grodzisko, ale i Radoszyce.

Zaniepokojony losem najbliższej rodziny, pobiegłem więc w kierunku Radoszyc, czego do dziś nie mogę sobie darować. A może „Szary”, gdybym nie „zdezertował”, przyjąłby mnie do oddziału? Biegąc do Radoszyc, po drodze podniosłem leżącą na ziemi niemiecką książeczkę wojskową. Ze zdjęcia patrzył na mnie mężczyzna z ciemnymi włosami i w okularach - Willy Wolschina, kapral, inżynier-architekt, 42 lata, 182 cm wzrostu, żonaty, dwoje dzieci, córka w moim wieku, mieszkaniec Frankfurtu nad Menem - czytam jego dane personalne. Książeczkę chowam i pędzę dalej. Widzę w rowie zabitego konia, którego brat prowadził przed południem i na którym cwałował oficer, zderzając się ze wspomnianą powyżej kolumną samochodów.<sup>16</sup> Mijam

---

<sup>15</sup> Obaj spoczywają u wejścia na cmentarz w Końskich. Ile razy tam wchodziłem po wojnie i spoglądałem na ich groby, tyle razy stawały mi w oczach tamte sceny sprzed lat...

<sup>16</sup> Jak później dowiedziałem się, Niemcy nie zabili oficera. Ostrzeliwując się i rzucając granaty, pobiegł wzdłuż kolumny

po drodze płonące domy, w tym państwa Władków, ale nikogo przy nim nie widzę. Dalej domy już nie płoną. Wpadam do naszego. Pusty. Ściemnia się, ludzie nic nie wiedzą. Pędzę więc do babci Pawlikowskiej pod Momocichą. Są wszyscy! Widzę też płaczącą panią Władkową z niemowlęciem na rękę. Pana Władka zabili Niemcy i ciało wrzucili do płonącego domu - dowiaduję się.

Pan Władek, wysiedleniec z Poznańskiego, podobnie jak jego późniejsza żona, agronom z wykształcenia, często przychodził do dziadka, kiedy żył jeszcze i razem szczepiali drzewka. Po śmierci dziadka w 1942 r. dalej przychodził z żoną, pomagając babci pielęgnować drzewka.

W domu rwetes, ciemno, ale nagle słyszę głos babci:

- *Gdzie jest pani Władkowa?*

Nikt nic nie wie. Przepadła gdzieś bez śladu w zamieszaniu, gdyż w domu babci było tłoczno i ciemno.

Dziś ten właśnie epizod najbardziej wrył się w moją pamięć z tego brzemiennego w wydarzenia dnia. Tragedia tej kobiety z niemowlęciem, do dziś nie daje mi spokoju. Czyżby zrozpaczona powróciła z dzieckiem do płonącego domu i rzuciła się z nim za mężem w płomienie?

Z latami zaczęły mnie nachodzić jeszcze inne refleksje.

Po co była ta bitwa? Przecież można jej było uniknąć! Prawda, była ona symbolem polskiego bohaterstwa, gdyż przy stracie dwóch „chłopaków” trupem położono 21 Niemców i to nie z zasadzki, ale w ataku (potem dopiero dowiedziałem się, że Niemcom wyszła amunicja). Ale prawdą też było, że ok. 50-osobowy i zmotoryzowany oddział Wehrmachtu pod dowództwem ppłk. Vullejusa, choć zasilony paroma b. żandarmami z Radoszyc i Gluckhardtem, sadystą z koneckiego Gestapo<sup>17</sup>, nie był ekspedycją karną. Przejeżdżał tylko z Włoszczowy przez Grodzisko i Radoszycę do Końskich. Po drodze z Grodziska do Radoszyc, oddział natrafił jednak na wspomnianego już powyżej jeźdźca i doszło do wymiany ognia. Następnie, kiedy część Grodziska została podpalona, Niemcy, pozostawiając przy figurce ubezpieczenie tylne, ruszyli samochodami

---

w kierunku Grodziska. Niemcy za nim strzelali, ale bezskutecznie. Od ich kul, w tym świetlnych, zapaliło się Grodzisko. Czy potem wziął udział w bitwie - tego nie udało mi się ustalić;

<sup>17</sup> Zginął w bitwie, a jego sprzętynowy pejcz był po wojnie wystawiony w gablocie na skwerku przed kościołem w Końskich.

do Radoszyc. Tam, kiedy pokazali się na rynku, ostrzelali ich NSZ-owcy - jak dziś to wiem - z oddziału „Stefana” (ci sami, których widziałem rano przed piekarnią). Ppłk. Vullejus, jadący w odkrytym samochodzie osobowym, został bądź zabity bądź ranny z pepeszy wspomnianego powyżej mojego rówieśnika. Niemcy wpadli we wściekłość i wycofując się w kierunku Grodziska zaczęli po drodze podpalać domy. Mordowali też napotkanych albo znalezionych w domach mężczyzn. Tak najprawdopodobniej zginął p. Władek.

Po spotkaniu się z ubezpieczeniem tylnym pod figurką, Niemcy zatrzymali się, czekając prawdopodobnie na posiłki z Włoszczowy, które mogli wezwać drogą radiową. Widząc jednak nadciągających przez Momocichę i Kotrasy partyzantów<sup>18</sup>, Niemcy wzmocnili ubezpieczenie pod figurką, a reszta z nich odjechała do Włoszczowy, żeby uniknąć okrążenia, a może sprowadzić odsiecz. Jakkolwiek nie było, większość z nich wymknęła się. W wyniku boju, który we wszystkich jego fazach trwał ok. czterech godzin, obok zadania Niemcom strat w ludziach, partyzanci zdobyli dwa erkaemy, kilka peemów, karabiny i pistolety, ale ani jednego naboju i granatu.

Na drugi dzień, w niedzielę 3 września 1944 r., co było do przewidzenia, do Radoszyc przyjechała karna ekspedycja, złożona z ok. 40-tu bud z ok. 600 Niemcami i ok. 100-konnym oddziałem Kałmuków. Kilkaset ludzi, obecnych na niedzielnej mszy, Niemcy wygarnęli z kościoła na rynek, rozkazali im klęczeć i wiążąc im ręce do tyłu, zaczęli podpalać Radoszyce. I zapewne ludzie ci spłonęliby żywcem, gdyby na odsiecz nie przybyli, będący w pobliżu, partyzanci 2 Pułku Piechoty z odtwarzanej 2 Dywizji Piechoty Legionowej. Wywiązała się trzygodzinna bitwa, a w jej zamięcie ludzie z rynku uciekli. Bitwa zakończyła się polskim sukcesem, gdyż przy czterech rannych zabito co najmniej 35 Niemców i nieznaną ilość Kałmuków, ale zginęło też ponad 50 mieszkańców Radoszyc. Straty ludzkie po obu stronach były więc z grubsza wyrównane, ale materialne były tylko po stronie polskiej, gdyż Radoszyce doszczętnie spłonęły, łącznie z czasowo zamieszkiwanym przez nas domem (co widziałem z odległej o ok. 6 kilometrów wsi Szustaki, uciekając z domu babci przed obławą).

---

<sup>18</sup> Partyzanci nadciągali z Wyrębowa, oddalonego o sześć kilometrów od Radoszyc, z miejsca postoju w 5 kompanii ppor. „Jelenia” z batalionu „Szarego”, który, jadąc konno, postanowił osobiście wziąć udział w boju.

Czy więc nie lepiej było pozwolić Niemcom spokojnie przejechać przez Radoszyce? Po co też wspominać powyżej oficer, od którego wszystko zaczęło się, jechał konno drogą, na której w każdej chwili mogli pokazać się Niemcy? Prawdopodobieństwo tym większe, że Front Wschodni już się wtedy ustabilizował i coraz częściej po drogach jeździli Niemcy. Nie warto było więc ich prowokować!

Tak myślę teraz, ale wtedy tak nie myślałem. Nadal rwałem się do walki, choć już wiedziałem od paru moich rówieśników z Radoszyc, którym udało się trafić do różnych oddziałów partyzanckich, że ze względu na nasilające się obławy, brak żywności i nadchodzące chłody, oddziały stopniowo rozpuszczano do domu i na meliny. Tylko jeszcze AL przyjmowała ochotników i omal nie trafiłem w jej szeregi (założono mi już nawet automat pepeesa<sup>19</sup> na szyję), ale jakoś z tą partyzantką było mi nie po drodze i automat oddałem...

Dziś, choć mam szereg niezbyt pochlebnych refleksji na temat polskiej wojny partyzanckiej, to jednakże tamte czasy wspominam ze wzruszeniem. Widziałem triumf polskiego oręża, a nie tylko egzekucje bezbronných współrodaków. Ale nade wszystko byłem dumny z siebie, że zaplątując się przypadkowo w bitwę naprawdę *nie czulem* strachu. Może dlatego, że będąc jeszcze niepełnoletnim nie bardzo zdawałem sobie sprawę z grozy sytuacji, w której się znalazłem. Tak pewnie nie zdają sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa wszystkie inne wyrostki na całym świecie, które „bawią się w wojaczkę”.

Wojaczka mnie ominęła. Kiedyś robiłem z tego tragedię życiową, a dziś myślę, że na szczęście...

---

<sup>19</sup> Radziecki „Pulomiotnyj Pistolet Simonowa”, wz. 1943, w skrócie polskim zwany pepeesem.